

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Antora.

Ogólnego zbioru tom czterdziesty dziewiąty.



ZŁOTE JABŁKO

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

Tom IV.

LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.

1873.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glucksberga.



Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

ROZDZIAŁ I.

Przybycie wiosny.

Szczęściem może dla pana Bala, nie miał bardzo czasu rozmyślać o przypadku w kościele, bo nań spadły wszystkie wiejskie utrapienia, których dotąd nie doświadczył: odwiedziny urzędowe, śledztwa niespodziewane i bryczki ze dzwonkami przez tydzień hałasowały mu nieustannie w dziedzińcu. Przybył poznać się z nowym dziedzicem i obywatelem miejscowy Asesor, potem Sprawnik, potem Strapczy, potem ktoś z kancelarji pana marszałka, potem ktoś znowu z osobnem poleceniem, potem członek duchowny do śledztwa o jakąś pasiekę, urzędnik do rewizji skazek i tym podobni goście.

Wszystkich potrzeba było zabawiać, co najtrudniej przyszło, i gdyby nie Parciński, nie wist i preferans, nie wiem jakby sobie z nimi dal radę pan Bal.

Asesor szczęściem był bardzo dobry człowiek, malarosjanin, wesół, rubacha, i nie prześladujący ludzi,

a że w nim serce grało, poznawszy bliżej Bała, zaraz go pokochał. Z tym łatwo było przyjść do ładu, choć pomocnik, nabechtany od pani Supełkowej, ciągle go podszezuwał.

Sprawnik, niegdyś major i adjutant księcia W... który się dosłużył rangi, więcej pilnując pokojów i towarzystwa niż zajęć militarnych, był człowiekiem wielkich pretensyj, elegant, wytwornis, a wewnątrz najdziwniej obojętny na wszystko co nie napychało kieszeni. Przyjechał koczykiem, ale z żydem faktorem na koźle, ze szkatułkami zawierającymi wytworne toalety, z kamerdynerem, bursztynami i cybuchami, sekretarzem pijakiem i pisarzem. szmuno i hałasno... Słyszając o kupcu i wystawiając go sobie czemś łatwem do zastraszenia, w początku wystąpił z bardzo pańskimi minami. ale zaledwie wszedł do salonu, stał się na widok zamożności i zbyt innym zupełnie człowiekiem. Wystąpiła zaraz francuzyczyna, dworactwo, serdeczności, zwierzenia, a że pan Bał łatwo się ująć dawał, zręczny major zrobił z nim co sobie zamierzał. Zwierzył mu się zaraz na ucho, że miał sekretne doniesienie o nci-sku włościan, wystawił jakie to niebezpieczeństwo ciąguie za sobą, i przestraszonego zapewnił, że to się da jakoś zlagodzić.

Że w Zakalu i stół i wina smakowały, pan major przedłużył tu swój pobyt, usiłując na stopie przyjacielskiej stanąć z gospodarzem, u którego nareszcie półtora sta rubli zmuszony był pożyczyć. Wszystkie trudności poszły potem nadzwyczaj szybko z wiatrem i ukończyły się najpomyślniej. Ale tydzień takiej załogi i salonowania!..

W domu i na folwarku gdzie się rozlokowała kan-

celarja, nie było chwili spokoju, a któżby śmiał sprzeciwić się w czem komukolwiek z tych panów? W końcu odjechali ustępując miejsca innym, a Bal nie mógł się napamiętać widząc jedno po drugim zajeżdżające bryczki, interes napadający po interesie, śledztwo po śledztwie i wydatek po wydatku.

Parciński jak mógł mu służywał i wyręczał, wszakże wszystko się o dziedzica po troszę opierać musiało.

— A co Erazmie, spytała go żona po kilku dniach jednego wieczora widząc posępniejszym, tyś na wsi wyglądał spokoju i odetchnienia?

— To są początki, to wyjątek, jak się raz obrobim z tych zaległości, będziemy siedzieli jak u pana Boga za piecem.

— Prawda że za piecem, bo prócz tych panów żywa dusza u nas widać nie postanie. Zawsze jeszcze wiesz widzisz w tak różowych kolorach?

Pan Erazm ruszył ramionami.

— Moja droga, rzekł hamując się o ile umiał, są warunki w życiu ludzkim od których żadne położenie nie uwalnia; jednym z nich to co się po prostu zowie kłopotem... jakże ty chcesz być od nich całkiem swobodną?

— Jam się tego nigdy nie spodziewała ale ty.

— Jam się dotąd nie zawiódł.

— Erazmie! doprawdy nie godzi się żebyś mnie to mówił.

— Może się uprzedzam, ale mi widok wsi i to życie u piersi natury oplaca za wszystko!

— Cóż mam na to powiedzieć? westchnąć i milczeć.

— To są wstępy, początki! Pierwsze kotki za plotki! Jak raz przebrniemy przez zwykłe introdukcyjne trudności, pójdzie nowe życie gładko, ślicznie, wesoło, ci-

cho, swobodnie... będziemy się wsią napawali. Co do mnie przyznam ci się że zapominam o wszystkim, w oczekiwaniu uroczej wiosny się zatapiając. My mieszczuchy rzec można, nie znamy dzieła Bożego, nie skosztowaliśmy wdzięku natury, nie wiemy co wiosna, lato, jesień, żyliśmy w oranżerji. Tu dopiero rozwina się dla nas wspaniałe widoki przyrodzenia.

Pani Bałowa się rozśmiała.

— Kochany Erazmie! ale gdzież weźmiesz swobodę umysłu potrzebną do zapatrywania się na naturę? Z jednej strony żyd arędarz, z drugiej pan pomocnik, z trzeciej sąsiad napastnik, z czwartej proces cię obleşe... Najpiękniejsza wiosna zmieni ci się w utrapioną jesień!

— Zawsze widzisz czarno! zawsze się uprzedzasz! odparł już goręcej coraz pan Bał... bądź sprawiedliwszą... Zresztą, jakem to sto razy powiedział, ja ci się nie dziwuję... ty nie masz w żyłach krwi szlacheckiej.

— Coraz się o tem mocniej przekonuję...

— Daruj mi serce... ale narażasz się sama.

— Nie przepraszaj bo się nie gniewam wcale, śmieję się tylko z ciebie.

— Może to być śmieszne dla was... ale cóżem temu winien że krew tych Bałów starych płynie w żyłach moich i pociąga mnie ku żywotowi pradziadów?

— Nie krew to ale imaginacja! pomyślała żona, ale nie nie odpowiedziała. Bał chodził wielkimi krokami po pokoju, i sam z sobą rozprawiał ducha sobie dodając. Im więcej bowiem usadzały się okoliczności żeby go od wsi zrazić, tem gwałtowniej czepiał się jej sił ostatkiem... Przestał wprawdzie Zakale nazywać złotem jabłkiem, bo codziennie dobitniej przekonywał się że ten przydomek dziedzictwu jego służyć nie mógł, ale za-

wsze i coraz goręcej oświadczał się ze swem dla wsi uwielbieniem.

Tymczasem kłopoty nie ustawały i sypały się jak z worka; każdy dzień coś nowego przynosił... Parciński pocil się nad stosami papierów, po których przejrzeniu ostatecznie zawsze coś tylko było komuś zapłacić. Pan Bal wyliczał i zapisywał potajemnie, a coraz to podsumowawszy, gdy był sam jeden, potrząsał głową znacząco; rosły bowiem wydatki niezmiernie, a przychód się ani pokazywał jeszcze. Aręda zaledwie wystarczała na pokrycie codziennych kosztów życia, a Moszko regularnie kwitkami się wypłacał. Kasa właściwa Zakalańska, mająca osobne rejestry, strasznie była chuda.

— Zapewnie że to wiele! mówił pocziwy pan Erazm, ale to są ekspensy installacyjne! inaczej być nie może... Później, powoli zacznie się to powracać...

Tymczasem pieniądze wyjeżdżały szybko, ale z odwrotem doczekać się ich nie było można. Oczekiwana tak niecierpliwie wiosna poczęła się nareszcie... w kalendarzu... Zwiastował ją z nieporównanym zapalem pan Bali i wskazał żonie czerwonymi wydrukowane literami... Pierwszą część wiosny! Ale spojrzenie w okno przekonało go że to był mythus tylko, symbol, tradycja... ale pewno nie wiosna... Paskudniejszej pory nad tę, gdyby kto ją chciał robić naumyślnie, nie potrafiłby sobie skomponować. Na ziemi leżał śnieg wielkimi płatami z pod którego czarna, naga wyglądała ziemia... błota było pełno, wody podostatkiem, zimno jak o Bożem narodzeniu... Przymrozki na czterdziestu męczenników poczęte, obiecywały męczyć dni czterdzieści i w tem nie zawiodły. Jeśli dzień jeden błysnął weselszy, po nim następowała slota, deszcz ze śniegiem,

śnieg z deszczem. Bloto i gruda mieniały się jak najregularniej... W takich przemianach z wielką niecierpliwością pana Bala nadeszła znowu czerwono drukowana Druga część wiosny!

Śnieg zlaził, ale po kątach leżał jeszcze uparcie, przymrozki szły co ranka, słońce jednak poczęło sobie przypominać swoje obowiązki. Walka zimy która ustąpić nie chciała z wiosną, która czuła potrzebę przejścia, zajęła prawie całą tę część w kalendarzu drugą nazwaną, sumiennie i pierwszej imienia nie warta. W dzień przygrzewało. w nocy marzło, a po chwili cieplejszej zlatywały burze, grady, zamiecie krótkie a nieznosne, nie dające głowy za próg wychylić.

— Co u kąt! mówił pan Bal, czy się to już nigdy wiosna nie zrobi? I to na złość chyba!

Nareszcie pod płotami zjawila się pokrzywa, pierwszy u nas zwiastun zieloności, przyleciał chudy bocian, zakrzyczyły żaby w błotach, chmurą podniosły się komary... zima musiała ustąpić. Jednakże bez futerka wyjść było niepodobna. Pan Bal dziwił się bardzo, że tego wszystkiego w mieście nie doświadczał. ale wma-
wiał sobie, że to go zajmowało i bawilo.

— Co do mnie, mówił przed żoną, ja na ten widok walki w przyrodzeniu i odmładzającej się ziemi patrzę z zachwytem, z rozczuleniem... W mieście to wszystko przechodziło niepostrzeżone, mieniałem futro na płaszcz i to dla mnie stanowiło wiosnę. Nawet krzyk żab naszych mi się podoba.

— W tem przynajmniej zgadzasz się z poetą co osądził, że żadne żaby nie krzyczą jak nasze.

— No! gadaj ty sobie co chcesz, a ja ich kumkamie lubię.

Jak tylko się ocieplilo, pan Bał nie schodził z gan-ku, stał się dzieckiem, ale używał wiosny całą gębą. Przynosił trawę i pączki drzew lub dzikiego agrestu do pokoju, wynajdywał kwiatki, a tak go to naiwnie bawiło, że żona nie mogła mu już mieć za złe namiętności, która go tak nieszczęśliwiała.

Ale wśród tych zachwytych ileż było chmurek za-łedwie przeleciałych *) już znowu wracających.

Skutkiem zabiegów rozsądnych Parcińskiego, ludność Zakala pogodziła się jakoś z dziedzicem, chętka nieposłuszeństwa ustała, a zresztą łatwo porachowali, że z panem jakiego im Bóg dał, najlepiej wyjdą starając się go chwycić za serce.

Prosty ten lud ma głęboką znajomość człowieka, z fizjognomji czyta trafnie i nigdy się nie myli; w słowie, w zapytaniu rozpoznaje od razu charakter. Pan Bał miał znowu tak otwartą fizys, tak pocziwie rozweselone oblicze, że się na niem i najmniej biegły poznaćby potrafil.

A jakże nie korzystać z dobroci?

Postanowiono więc choć bez narady, klaniać się uizko kuropatwie, a ile możności ssać ją nieboraczkę. Nie szczędzono ukłonów, ani słówek, ani przymileń, a szczerzy ów lud prosty, wśród którego pełno filutów wyuczonych odwiecznem swem położeniem do odegrywania komedji — podchodził pana Bała nieustannie.

Nowy dziedzic przekonany że na wsi panuje szczerść i prawda, wierzył każdemu słówku najświęciej, oburzał się nawet gdy mu dawano do zrozumienia, że

*) Piszę w brew gramatyce, i wiem o tem, ale zdaje mi się że gramatyka nie ma tu słuszności.

nie wszystko tak być może jak mu malują, i płacił za swą poczciwość kieszenią.

Ze swych przechadzek na pole i do lasów rzadko kiedy powracał niewypróżniony sakiewki do dna, a im więcej dawał, tem częściej żądano. Temu zdechl ukochany wolik, tamtej krówka ostatnia, inny nie miał chleba! Bał się wzdygać i dawał a dawał.

— Ale panie! mówił mu pokręcając wąsa Krużka, niech Jaśnie pan wierzy, że ci co prawdziwie potrzebują, najczęściej siedzą w kącie i nie przyjdą prosić, a kłamana bieda na wierzch tylko wylazi...

— Co Waćpan pleciesz! oburzony lajał Bał, trochę tylko liznął świata, a już nie masz miłości i wiary. To są ludzie prości, poczciwi! zresztą ja się znam na frantach!

Po cichuteńku zaśmiał się może niejeden z łatwo-wierności nowego pana, bo i to się zdarza, ale w ogóle pokochali się ludzie w swojej kuropatwie. Poczciwe to serca! a choć wiele złego między niemi, czyż tak wielka wina, tam gdzie prócz Opatrzności Bożej nikt cnoty nie szczepi? Ten lud ze swą większością tak dobrą, jest najpotężniejszym dowodem ducha słowiańszczyzny. Z większą stosunkowo oświatą, w położeniu mniej zależnem, inne Europy ludy w klasie odpowiedniej są stokroć więcej zepsute.

Ale wróćmy do dziedzica który się wiosną nacieszyć nie może; siedzi on nad brzegiem Horynia skąsany od komarów, patrzy na wody, pije ożywione balsamiczną brzoź wonią powietrze i zachwyca się, zachwyca! Nagle puścili zewsząd liście zielone, kwiatki, chwasty, trawy, i wszystko wskrzeszone powstało zmarłych!

Nikt roku tej porze zaprzeczyć nie może ; jest ona w istocie tak piękną , że gdyby jej tylko brakło tym krajom cieplejszym , co nie znają zimy , nie mieniałbym ich na nasz. Ozwały się ptaki , owady , niebo nawet ubralo w inne obłoki , barwą , kształtami różne od zimowych : przemówił do ziemi grzmot i spojrzał błyskawicą.

Wszyscy mieszkańcy miasta , aż do biednej wygnanki pani Balowej , wyszli spoglądać na obraz , który ginał dla nich wśród murów stolicy , i wszyscy w duszy uznali go pięknym. Horyń płynący pod samym prawie domem , raz w rok się ożywił także , poczęły iść tratwy i długie pasy gąsek , zaśpiewali flisy , czółna z ogniami zwijały się nocą po błyszczących wodach.

— A co ? powtarzał pan Bal , a co ? nie piękna wiosna ? mozem przesadzał ? mozem się uprzedzał ? sami teraz powiedzcie , kiedyż co podobnego widzieliście w mieście ? Czy tak tam śpiewają ptaszki w klatkach zamknięte ?

Parciński który tem wszystkim i nasycony był i przesycony , uśmiechał się niemal z zazdrością , sam jeden stając przeciwko wsi , i malując na przekor panu Balowi obrazy jego kolorami w inny sposób przesadzonymi.

— Bardzo pana szacuję i mogę powiedzieć że go kocham nawet , mówił Bal , ale tego jednego mu nie daruję , że się na wsi nie znasz ! próbuje to zimne serce !

Lizia wbrew ojcu także utrzymywała , że choć wiosna była istotnie piękną , ale obraz jej raczej smutkiem niż weselem napawał. Nie wiem czemu , starzy zwykle rozgrzewają się tym widokiem , młodzi czują w nim

tesknotę; jestli to do wytłumaczenia fizjologicznie, czy pozostanie zagadką? rozwiązać tego nie potrafię. Staś także choć trochę z życiem wsi pojednany, więcej może wzdychał niż w zimie; i chodził na dalekie przechadzki, których pozorem tylko było polowanie, celem — marzenia i dumy.

Od czasu przygody w kościele nikogo nie widziano z sąsiedztwa, stosunki z niem zdawały się zupełnie zerwane; bolało to starego, pojechał raz do Brogów, nie zastał nikogo, zaprosił pana Teofila, nie odpisano i nie przybył, widocznie cały ten świątek usuwał się od nowoprzybyłych.

Dankiewiczowie nie oddali mu odwiedzin, Hubka nawet wzywany dla interesu, nie przyjechał. Pan Bal mocno to uczuł, ale pokrył milczeniem; ani żonie, ani nikomu z rodziny żadnych nie pozwalając robić przypuszczeń i wniosków.

Złe drogi, rozlane wody nie dozwoliły być w kościele, później mężczyźni tylko sami dostać się potrafili do miasteczka, i znowu nikt się z niemi ani przywitał, ani ich chciał widzieć. Kupiec znosił to silnie dotknięty, ale cierpliwie, Stanisław wrzał z gniewu i czekał tylko zręczności żeby się z pierwszym lepszym zetrzeć.

Zerwanie stosunków z panem Teofilem pociągnęło za sobą usunięcie się hrabiego, który nie mając już nadziei wydania córki, czuł potrzebę wziąć stronę swego kuzyna.

Jakkolwiek to sobie tłumaczyć było można, w ogólności jednak postępowanie sąsiadów dla państwa Balów było niepojęte, nie domyślali się bowiem, by czem obrazić mogli sąsiadów i nie przypuszczali plotek, które

tak obficie rozrzucano do kola.

W cztery oczy pytał pan Bał najprzód Parcińskiego czyby nie wiedział zkąd takie odstrychnienie się wynikać mogło, ale ten nie wiedział o niczem, bo z nikim nie żył, a skwaszony oddawna, tłumaczył to sobie nie źle zwykłą ludzką ułomnością.

— Nie dziwuj się pan, odpowiedział, pierwsze uczucie człowieka to zawsze obawa, niewiara, wstręt... mówią o ludziach pospolitych, gdyż wyżsi duchem poczynają od miłości i sympatji... Ale tu między temi ciętami, z pozwoleniem pańskim, wyższości nie szukać. Potem im głupsze to tem dumniejsze, w ostatku drażliwe jak rana, której dotknąć nie można, żeby nie zabolalo! Ale to są zwykle początki. Gdybyś pan był Dankiewiczowi pożyczył pieniędzy, a panna Elizia nie odmówiła panu Teofilowi, stałyby rzeczy inaczej, zrobiłbyś pan sobie partję, choć nie ciekawą, czegobyś potem gorzej żałował niż dzisiaj, że panu ci trutnie pokój dali. Tem lepiej! Baba z wozu, kołom lżej!

Nic się z tego nowego nie nauczył pan Bał, bo tyle mniej więcej i sam się domyślał, ale go korciło że inne jakieś tajemne powody do tego ogólnego wstrętu przykładać się mogły. Kogo się tu popytać, od kogo nauczyć? na wsi naturalnie od żyda. Żyd tu jest wszystkim, on łączy sobą klasy najróżniejsze, bo się do nich dotyka; wszystko wie, bo się o każdego dowiaduje; zdrowo bo praktycznie sądzi... a więc do Moszka!

Pan Bał spotkał właśnie starego jadącego biedką do dworu, opodał w lasku. Moszko jak dwudziestoletni młodzik zeskoczył z siedzenia, zdjął czapkę i na znak dziedzica którego bardzo szanował, bo mu z nim dobrze było, zbliżył się z uśmiechem.

— Jaki z Jaśnie pana gospodarz! rzekł nie bez ziarka pochlebstwa, zawsze w polu! na co to tak pracować! pan Bóg i tak da.

— A cóż mam robić? odrzekł knipec smutno, muszę się poznawać z gospodarstwem, ale ja właśnie chciałem się z panem Moszkiem zobaczyć i pogadać, dobrze żeśmy się spotkali.

— Nu! co Jaśnie pan każe? ja i w nocy na jego rozkaz!

— Możemy z sobą pogadać szczerze?

— Czemu nie! niech pan wierzy — kładąc rękę na piersi dodał żyd — ja pańskiego zaufania nie zdradzę.

— Powiedz-że mi, ty wszystkich znasz, wszędzie bywasz, slyszysz co ludzie gadają, co się to dzieje, proszę cię, że odemnie tak wasi panowie jak od zapowietrzonego stronią?

Moszko pogładził brodę, kiwnął głową, założył ręce za pas...

— To długo gadać, rzekł, Jaśnie pan się nie obrazi, jak ja czystą prawdę powiem?

— I owszem ja tego chce właśnie.

— Ot, jak się mnie zdaje, z tego com ja słyszał po dworach, w Dębnie, w Burkach i u inszych. Choć prawda nie bardzo się oni przedemną wygadują, wiedząc że ja panu służę, ale od ludzi można wyciągnąć wszystko. Jak państwo tu przyjechali, tak zaraz wielki się zrobił hałas. Zkąd? jak? co? kto? a czy bogaty? a kto on? A trzeba Jaśnie panu wiedzieć, że tutejsi panowie jak gołe, z pozwoleniem, tak wielkie fanaberje! Jak posłyszeli, że Jaśnie panu bogaty, a dom śliczny, a pieniędzy dosyć, tak im strach poszedł, że oni przy Jegomości pogasną! Ztąd zaraz różne intryg,

jedni drugich podszycuwały i zmówili się na Jaśnie pana

— Cóżem ja im zrobił? spytał Bal łamiąc ręce — więc to spisek?

— Co na to uważać! Oni myślą że jak kto z kupców pochodzi, to co gorszego od nich.

— Z kupców! z kupców! — zawołał oburzony pan Erazm, albo to ja nie szlachcic i nie lepszy może od nich! Waćpan wiesz że Balowie pochodzą z książąt.

I byłby się tak dalece zapomniat poczciwy pan Zakala, że już chciał przed żydem liczyć swych przodków: wodza Justynianowego, księcia Massagetów i podkomorzych Sanockich, gdy Moszko przerwał mu kłaniając się do kolan.

— Przepraszam Jaśnie pana. to głupi ludzie. co na to nważać! A wreszcie, co daleko szukać czego oni złają? Ot! podśedek zawsze tu był pierwszy póki Jaśnie pan nie przyjechał, zląkł się że będzie musiał albo się wyciągać, albo spaść daleko niżej: nu! a Dankiewiczowi pan odmówił pieniędzy.

— Ty i to wiesz?

— Czego ja nie wiem? rzekł Moszko. Wszak i pan Teofil (tak go nazywano powszechnie, a niekiedy nawet p a n t o f e l) może mieć urazę? Nu! co za dziw, że ich złości biorą.

— Ale cóż na to poradzić? rzekł pan Bal, trndna to jednak rzecz siedzieć jak w więzieniu, żywej duszy nie widząc.

Żyd mocno głową pokiwał i dwakroć brodę siwą pogładził.

— Gdyby tak na mnie, odparł, jabym się im dał gniewać i siedziałbym cicho: przyszliby oni potem sami do Jaśnie pana.

— Ha ! może masz słusność, ruszając ramionami mruknął pan Bal, zresztą nie ma podobno sposobu na to.

Smutny jednak ze spuszczoną głową powrócił do domu wzdychając, i nie dziw, potrzebował ludzi, bo do nich przywykł, ciążyła mu pustynia otaczająca i nie wystarczała natura, nie miał się z kim wrażeniami podzielić ; w ostateku osamotnienie żony przykro mu dolegało.

ROZDZIAŁ II.

Codzienne sprawy.

Nazajutrz wśród najrozkoszniejszych dumań o planie angielskiego ogrodu mającego dom w Zakalu otoczyć, gdy pan Bał zakasawszy poly, w zapale przesadzał płoty, utykał kołki i budował w myśli altanę nad nrwiskiem u Horynia brzegu. Parciński przyszedł z papierem.

Nanczył się już nasz pan Erazm co to papier na wsi znaczy, na widok jego wstrząsa się człowiek, blednieje, cofa, jakby na węża nadeptał. Papier nie przynosi nigdy nic dobrego, zawsze złe zwiastuje, jest to posel kłopotów. Czarne na nim gzygzaki, szatańskie, tajemnicze zawierają groźby.

Wśród objadu odbiera apetyt, wśród przechadzki zasłania widok, nciechę zatrnuwa przeczuciem!

— Co to jest? zapytał z przestrawieniem kupiec. czy znówu?

— A znówu, rzekł Parciński.

— No! z rezygnacją spuszczać głowę odparł Bał, któremu kij upadł z ręki, cóż tam Pan Bóg dał?

— Oj Indzie to, nie Pan Bóg.

— Cóż przecie?

— *Ultimatum* w rzeczy dyferencji Radziwiłłowskiej, Hubka każe nam kończyć, lub pozwie do sądów.

— Kończmy! zawołał Bał, kończmy na miłość Boga!

— Nie można! niepodobna! warunki są niesłychane; odcinają nam całą dyferencją, najlepszy las, najsuchsze sianozęcie, wygon od Ciemiernej, jeszcze łaskawi że wioski nie zabierają i za to każą dziękować.

— Ach! ależ mamy my słuszność czy nie? zapytał pan Erazm, oświeć pan mnie.

— Szczerze powiedziawszy, ja prawdziwie rozpoznać nie umiem, kto tu ma słuszność po sobie, czy książę Radziwiłłowie, czy nieboszczyk książę Teodor. To pewna, że granicy stałej od wieków nie było, że się tam nieraz siekli i zabijali, a kto mocniejszy brał górę i trzymał. Pierwsze spory sięgają czasów ostatniego z Jagiellonów. Ale to pewna że z dyferencji połowa nam dziś z prawa i prawnie przypaść powinna, gdyby nie komplancja hrabiego.

— A ta opiewa?

— Ustępstwo zupełne.

— Cóż tu począć? co tu począć? radź pan.

— Zapiszmy się na kompromis.

— A! doskonale! zapiszmy się na kompromis, zawołał Bał, posłuszny mi to do dania dowodu szacunkowi sąsiadom. Wybornie! Odpisz pan Hubce, że prosimy o kompromis.

— Kogo pan myśli od siebie prosić?

— Ja? podsędka Hurkota.

— Ale ten jest najlepszy z Hubką.

— O! o! dowcipnie mrugając oczyma Bał, tem lepiej, nie zrobi mi krzywdy dla tego samego.

Parciński pomyślał, pokiwał głową i poszedł milczący. a w pół godziny postaniec niósł pannę Hubkę odpowiedź.

Na wieczór, właśnie gdy siadali do herbaty, przyszło pismo, w którem się zgadzał na sąd polubowny, od siebie naznaczając Dankiewicza, na co się Bał zgodził, superarbitrem miał być Jaś Pancer, ale ten jak się dowiedziano wyjechał, na jego miejsce więc kupiec proponował Teofila Zmore. Dwa czy trzy listy jeszcze zakończyły umowę i Bał zasiadł pisać do uproszonych.

— Dobrze mi się udało, rzekł w duchu, sąd kompromisarski zawsze lepszy od procesu, w dodatku zbliży mnie to do ludzi. Śliczną myśl miałem!

Trwała ta radość tylko do południa nazajutrz, gdyż od Dankiewicza przysłała odpowiedź pełna panów dobrodziejów, ale grzecznie wymawiająca się od sądu. Nieco później przyniesiono list od Hurkota, krótki, w kilku słowach i bez ogródki odmawiający sądzenia sprawy. Pan Teofil także nie chciał być ani sędzią, ani superarbitrem.

Te trzy przykre odezwy zmieszały pana Bała na chwilę, łaza nawet zakreśliła mu się w oku, zmarszczył się trochę, pomyślał.

— Proś pana Hubki niech do nas przyjedzie, rzekł, skończymy, procesu nie chcę, postąp pan jak mu się podoba. obetnij mi połę, a zrobimy sami koniec.

Napisano do Hnuki, ale ten złożywszy się flukcją, zaprosił Parcińskiego do siebie, zarzekając że żadnym sposobem przyjechać nie może.

Pan Erazm miał trochę przyzwoitej dumy a wiele gorączki. zżymał się, ale nie dał już poznać po sobie że go to obeszło.

— Jedź pan z łaski swojej i rób co chcesz byle był koniec, rzekł, sprawy mieć nie chcę, Zakąle obejdzie się bez tego kawałka lasu.

Parciński chciał coś mówić, ale mu kupiec nie dał ust otworzyć.

— Wszystko cobyś pan mógł mi powiedzieć o tem, rzekł żywo, wiem, słyszałem, ale powtarzam, chcę zgody i pokoju, komplauacja mnie obowiązuje jakkolwiek bądź. Czekam pana jutro z podpisanym układem.

Parciński westchnął tylko.

— Niech pan zważy, odezwał się, że interes tak stoi, iż go inaczej jak źle skończyć nie mogę. Krzyk będzie na mnie.

— Kochany panie Tomaszu! ściskając go zawołał Bał. niech ich djabli wezmą, niech sobie krzyczy kto chce, a my różni co można i co da nam święty, nieopłacony spokój.

— Stanie się więc jak pan chcesz, ale z góry powiadam, że jeśli co utarguję, to nie wiele.

Wejście pani Bałowej przerwało rozmowę, kupiec go pożegnał skwapliwie, twarz rozjaśnił, udał wesołego, zakręcił się, a że słońce grzało ślicznie, zaproponował przechadzkę. Tęskna Lizia, smutna pani i nie weselszy od nich Staś wyszli razem, jeden Bał choć w sercu uciśniony, rozczułał się zawsze i rozweselał, grając swą rolę do końca z heroizmem, jakkolwiek małych rozmiarów, ale wielkiem okupionem wysiłeniem.

Pustelniczo, cicho, smętnie biegły te dnie w Zakąlu, których monotonii nic nie przerywało, chyba list

z Warszawy, chyba plotka arędarza, lub żart Parcińskiego.

Nazajutrz nie powrócił pełnomocny i napróżno niecierpliwy Bal trzy razy na spotkanie jego do promu wychodził, chcąc się zawczasu i dowiedzieć co zrobił i nłożyć z nim jak miał mówić przy żonie i dzieciach, przed którymi chciał ukryć swoją stratę. Nazajutrz rano siedział już znów u promu dosyć pochmurny dziedzic Zakąta. Liczył on, liczył co go kosztowało nabycie, a coraz lepiej obeznając się z tem co mu złote jabłko przynieść mogło, wielkie przewidywał straty. Ale od czegoż w człowieku ten rozum tak giętki, który mu przewybornie służy wedle potrzeby na prawo i lewo? Począwszy nim wywijać znalazł wkrótce pan Erazm, że trochę nakładów jeszcze na młyny, hutę, ulepszenie gospodarstwa, mogą olbrzymie wydać procenta i zyski.

— To są tylko początki, mówił, trzeba cierpliwości, wiele cierpliwości! wszystko się da przerobić.

Zatopionego w cyfrach, które jak wojska ogromne szeregami stały przed nim i poruszały się na rozkazy przechodząc w lewo i prawo, znalazł wracający Parciński, który dość kwaśny z promu zszedłszy, powitał kupca najniespodzianie, a nawet trochę go przeląkł.

— A to pan! no, cóżś zrobił? skończyłeś? spytał chwytając go za rękę dziedzic.

— Spełniłem rozkaz pański.

— No! to dobrze, o więcej nie pytam, a przy *nich* (to znaczyło resztę rodziny) chwal się pan ogromnie, żeśmy przepyszenie interes zrobili.

— Ubiliśmy istotnie! zaśmiał się pan Tomasz, cała dyferencja dostała się Radziwiłłom, ledwie odtargował

szlaczek lasu, żeby się nim zasłonić było można od widoku porębu, z którego panu nie nie przyjdzie i trochę wygonu dla Ciemiernej. Śliczny las przepadł, ale nie było sposobu.

— Dziękuję panu za ten szlaczek i wygon, odparł wzdychając pan Bał. ale w pokoju mówmy *część* dyferencji. nie bardzo się rozszerzając ile jej przy nas zostało. Rozumiesz mnie pan?

Parciński głową kiwnął.

— Ta nieszczęsna komplancja hrabiego, podrobiona później na pańską krzywdę, a od której nie było się można wyłamać, wszystko panu popsuła. Hrabia Sulimowski niegodziwie postąpił.

— Nie mówmy o tem, rzecz skończona, powinna być zapomniana, daremne żale.

— Zazdroszczę panu tej zimnej krwi.

— Stary jestem, mój panie Tomaszu, krwi nie mam zimnej, a do strat przywykłem. Ale powiedz mi szczerze, nie zaczerpnąłeś co o powodach odmówienia panów kompromisarzy?

— Wszystko to musiał Hubka zrobić, bo się bardzo kręcił...

— Ha! więc to nie nieprzyjaźń ich dla mnie, ale przyjaźń dla niego zrobiła? spytał naiwnie Bał, prawie z radością.

— Alboż to nie jedno? odpowiedział Parciński. Ale zapomniałem o nowinie.

— Chwała Bogu, jest i nowinka?

— Pan Teofil się żeni.

— Vivat! a z kimże?

— Z panną Hurkot.

— Rozumiem, rzekł Bał, żeni się na złość.

— Naksztalt tego, całe sąsiedztwo w ruchu. Pod-sędkowstwo z powodu kolligacji z hrabiami, na których całe życie plułi, dmą się ogromnie; posłańce latają... w Dębnie jubileusz... pani Dankiewiczowa po cichu ręce lamie i na głowę choruje... Hrabia Sulimowski przyjeżdżał slyszyć siostrzeńcowi perswadować, ale uparł się, oświadczył, zaręczył i dokonawszy tego siedzi w nienajlepszym humorze zamknięty u siebie.

Tak rozmawiając przyszli pod dom, a że Parciński był jednym w Zakalu co jeszcze trochę czasem wiał w rozmowę życia i zajęcia, że go lubili wszyscy, bo czuli w nim pocziwą duszę, przywitani go serdecznie.

Wytoczyła się zaraz naturalnie wielka nowina ożenienia, a Lizia parsknęła ze śmiechu.

— O! cóż za nieszczęście! zawolala. To ta zapewne panienka, którą widywałam tak wyprostowaną w kościele. I kiedyż ślub, panie Tomaszu?

— Zaraz po zielonych świątkach.

— Co za szkoda że nie będziemy tańcowali na weseln. Niestety! nie mamy najmniejszej nadziei.

Żartowano chwilę, choć w istocie to ciągle osamotnienie poczynalo dolegać przykro nawykłym do towarzystwa. Znosiła je najlepiej pani sama, która powoli ulubiła ciszę, spokój i to życie pustelnicze; ale żywej Lizi, a nawet Stanisławowi co dzień Zakale wydawało się dzikszą pustką.

— Jeszcze jedna nowina, o której zapomniałem, odezwał się Parciński. Hrabia Sulimowski, powróciwszy z Brogów zachorował, a nawet mówią że niebezpiecznie. Hubka utrzymuje że się zgryzł przyszlę ożenieniem siostrzeńca i pokrewieństwem z Hurkotami; że silnie bardzo przemawiał do kawalera, ale pan Teofil milcze-

niem go zbywał; wyjechał wzruszony, miał się zaziębić w podróży i przybywszy do domu położył się w łóżko. Hrabia nigdy nie chorował, mówią że dostał jakiejś gorączki; wezwano zewsząd lekarzy.

— Szkoda mi go, smutnie rzekł Bał, zawsze mi się zdaje że go tu spotwarzono, może mieć wady, ale złym nie jest, doprawdy.

Ten sąd, którego nikt nie potwierdził, ale też nikt mu nie chciał zaprzeczać, zakończył rozmowę już wyczerpaną.

Wieczorem gdy pan Bał myślał już spocząć, zjawił się leśniczy, oficjaliści i stary arendarz, który miał dosyć tajemniczą postawę. Znał on się na swoich obowiązkach tradycyjalnych i widać było że przyjechał z jakąś wieścią, gdyż przeczekał wszystkie dyspozycje i został do końca.

Krużka, któremu oznajmiono o ustąpieniu lasu, splunął w ręce w rozpacz.

— A po cóż panu teraz leśniczy? zawołał, nie ma co tych krzaków i łomn tego pilnować. Najśliczniejsze ostepy, najpiękniejsze zapnasty, a jakie łąki! Nie wie pan co pan stracił.

Byłby tak mówił do północy, bo gdy mu się na żal lub radość zebrało, nie żałował słów by je odmalować, ale go Moszko wyprawił jakoś, szepnąwszy mu słowo na ucho.

— Waćpan coś mi masz do powiedzenia? uśmiechając się spytał Bał.

— Słówek tylko Jaśnie panie.

— No! a co tam?

— Bylem dziś n podsędka.

— A! i powiesz mi o zaręczynach?

— Pan już wie?

— Od rana.

— Nu! ale to nie dosyć. Przyjechałem do podsędku, bo mnie się tam coś należało... Patrząc, coś bardzo grzeczny... ale taki jak nie bywał, zaraz pomiarkowałem że o coś będzie prosił. — Moszku! mówi traktując mnie herbata, pożycz albo dostań pieniędzy. — Pieniądzy! powiadam, a gdzie one są? — Zkąd chcesz weź, a daj, jeśli Boga kochasz... córkę wydaję. — Ja nie mam, powiadam. — Pochodził po pokoju. Mówią że wasz pan bardzo groszowity, czy to prawda? — Może to i prawda, ale on ma wielkie wydatki. — Cóż on tam robi? siedzi? ha? żywej duszy u was? — Co robi? mówię, a co ma robić? gospodaruje, bawia się. On nie lubi gości, taka jego natura.

— Dobrześ, ślicznieś powiedział panie Hercyk. Bóg zapłać.

— Niech no pan posłucha dalej... A nie pożyczylby ci mnie pieniędzy? spytał. — Jak on ma pożyczyć, kiedy pana nie zna? — Ja mu dam dobry procent. — Co pan myśli? zawolałem, to nie taki człowiek żeby pożyczał na procenta, to wielki pan, to nie żaden bankier.

— Dobrześ powiedział panie Moszko... Cóż on na to?

— Bardzo chodził, bardzo rozdumywał, a potem... — Co ty myślisz, powiada, jakbym się z nim ja poznał, czy on by pożyczył? — A co ja mogę wiedzieć, mówię, ja to tylko słyszałem, że on się z państwa śmieje, że u niego nie bywacie, bo u niego książęta i grafowie w Warszawie bywali. — Śmieje się, śmieje się, rzekł podsędek i zagryzł nsta. Nu! potem się mnie długo o Jasnego pana pytał i powiada na końcu: Prze-

proś tam, żeśmy dotąd nie byli... juściż będziemy w Zakalu.

— A ha! a ha! zaśmiał się pan Bał, zacierając ręce, rozumiem, potrzebują pieniędzy!

Moszko śmiał się na równi z panem, ale pilno było tem zwycięstwem na wpół już dokonaniem pochwalić się panu Erazmowi i pobiegł z nim do żony.

W istocie u podsędków zaszła nagle zmiana po oświadczeniu się i zaręczynach pana Teofila; dopięli głównego celu, wydawali córkę za Zmorę, dali już poznać swoje siłę przybyszom, jak ich zwali, chcieli teraz spróbować, czy pierwsi ku nim się sklaniając, nie ntargują co na nich. Jednego wieczora rzucił myśl pierwszą podsędek, zakrzyknęła pani, rozprawiali długo, ale skutkiem rozmowy było, że myśl wyrastać poczęła po cichu. Ubrano ją w najszlachetniejsze pobudki, żeby się na niej nikt nie poznał.

— Po większej części to co na nich mówią, szepnęła pani, mogą być plotki, zresztą przekonać się trzeba nim osądzim. Pospieszyliśmy się. Mieli czas poznać co my tu znaczymy... Wartoby się do nich zbliżyć, potrafią spodziewam się ocenić krok ten.

Ale na pierwsze słowo wyrzeczone przed Zmorą oparł się temu pan Teofil całą siłą, a że to było przed weselem, podsędek i żona ustąpić musieli.

ROZDZIAŁ III.

Jak się to czasem robią interesa (notabene. czasem).

W początkach jeszcze rozdrażnienia przeciwko państwu Balom, kiedy wyszukiwano wszystkich sposobów szkodzenia im, w Dębnie ktoś wspomniał przypadkiem przy czułych uszach panu Hubce, że dawniej przed laty kilkudziesięciu toczył się jakiś proces Sulimowskiego z Mylińskimi o dwakroć sto tysięcy, i nie doprowadzony do końca, ubity został z powodu, że Mylińscy zubożawszy prowadzić go dalej nie mogli, a nikt przeciw hrabiemu pretensji ich nabyć nie chciał.

To przypomnienie nawiasowe utkwilo w pamięci dawnego rządcy i plenipotenty, który skończywszy o dyferencją, zachęcony dobrym zyskiem i łatwością za jaką się to dało rozwiązać, począł mocno przemyślać nad wywiedzeniem się bliższem i o Mylińskich i o ich sprawie...

Możnaby dobry zrobić interesik, mówił potrząsając głową.

Hubka był jednym z tych ludzi nieprzeźroczystych, w których na pierwszy rzut oka nic dojrzeć nie można; wziąłbyś ich za pospolite stworzenia, bez myśli a nade wszystko bez żadnej przebiegłości, coś na kształt tych zielonych pajęczków którym sukienka wybornie posługuje do utajenia się wśród liści i trawy. Takim był właśnie ów gruby, głupowato się uśmiechający, niezgrabny i niepozorny pan Piotr Hubka... Jednakże powierzchowność jego zupełnie zawodziła; chytry, prze-myślny, uparty, nieumiejący się ani zrazić ani zniecierpliwieć, szedł do celu jak kret pod ziemią, niewidocznie, cicho, i kiedy już swój pagórek wysypał, dopiero się o nim dowiadywano. Za płaszczyk służyła mu głupota i niepozorność.

— Mylińscy! Mylińscy! mówił sobie ciągle, gdyby to się co o nich dowiedzieć można, tak żeby nikt się nie domyślił dla czego? Pojedziemy do podsędku...

To powiedziawszy siadł na bryczkę i ruszył do Dębna, ale w ciągu całych odwiedzin nic o Mylińskich, a nawet o Zakału nie wspomniał. Dopiero pod koniec naprowadził rozmowę niby przypadkiem na słyszaną wzmiankę procesu.

— Czy pan podsędek co o tym interesie słyszał? zapytał obojętnie.

— Jakże nie, rzekł deklamując Hurkot, ale to stare dzieje, końca i początku nie wiem. To tylko pewna, bo mi to swego czasu najlepsi prawnicy mówili, że Mylińscy mieli najzupełniejszą słuszość za sobą: ci ludzie do reszty upadli tą sprawą, zubożeli słyszę i dzieci starych Mylińskich służą gdzieś za ekonomów i pisarzy.

Tyle tylko na ten raz mógł się pan Piotr dowiedzieć, ale i to nie wielką było dla niego zdobyczą, zaga-

dal o czem innem, powrócił do domu i począł układać plany.

— Że Mylińscy ubodzy temci lepiej, łatwiej nabędę ich pretensją; ale gdzie ich szukać, jak ich znaleźć? To sek!

Po dość długich przemyśliwaniach podsyconych niestannemi szklankami piwa, które Hubka bardzo lubił, wypadło że trzeba się udać do Supelków.

— Oni tam długo siedzieli, rzekł sobie pan Piotr, muszą coś o tem wiedzieć; a że Bałów cierpieć nie mogą, będą radzi gdy im stolka przystawią. Sama zna cały świat, musi o tych Mylińskich wiedzieć.

Nie był jednak tak niezręcznym nasz spekulator żeby wprost i umyślnie pojechał do Supówki, wybrał się do miasteczka o milę leżącego za folwarkiem hrabiego, spóźnił się umyślnie, a że z dawna znał się z byłym rządcą Zakala, zajechał do niego na noc. Samego nie było w domu, żonę tylko zastał i córkę; a że go szanowano jako człowieka majątnego i w pożyczcin łatwego, rada mu była gosposia, która na wszystkich wdzięków swoich siły próbować była zwykła.

Po herbatce, po długiej gawędce o Zakalu, do której przysypywał żarn i węgla pan Piotr, coś się niby przypadkiem zgadało o ciężarach na tym majątku.

— A wiesz pani, odezwiał się Hubka, żeśmy im zabrali dyferencją?

— Całą, zakrzyknęła rządczyni z radością, całą?

— Tak jak całą. Zakale teraz pięć groszy nie warte.

— Dobrze mu tak temu przybłędzie! zawolala gorąco Supelkowa, ofiarowałam się na odpust piechotą jak ten żyd wyjdzie z kijem z majątku.

— Taż to tam podobno, rzekł od niechcenia Hubka, był jeszcze dawniej jakiś proces z jakimiś Mylińskimi, podobno o znaczną sumę?

— A! prawda! prawda! odezwiała się rzędczyni zbliżając się do gościa... ale dobrze o tem nie wiem co to było. Mylińscy zupełnie zubożeli, hrabia nasz ich, miedzy nami mówiąc, do torby przyprowadził.

— A cóż się z niemi stało?

Co? zwyczajnie, co sie dzieje z biedną szlachtą, poszli służyć biedacy.

— Dużo ich tam było? spytał popijając herbatę pan Piotr.

— Oj! coś troje czy czworo! zaczęła rozgadując się Supelkowa... Ja to dawniej znałam tych Mylińskich.

— A! pani ich znałaś! ciekawym. i cóż się z biedakami stało?

— Ich ojciec jeszcze miał częsteczkę w Podberezin, kilku chłopków, ale to już tylko resztki fortunki. Dawniej mówią byli to ludzie bogaci, ten proces ich tak zjadł, jak zaczęli się wodzić po sądach. A co to z panem się ciągać! Pan panem został, a szlacheć zgolał! Tak że staremu Mylińskiemu potem i tych kilku chłopków za niewypłaty podatkowe zabrano w administrację... a u nas jak raz majątek w administracji, już się z nim pożegnaj! Biedaczysko na starość z zarosłą brodą chodził po dworach za jałmużną. Podobno trzech synów miał i córkę, wszystko to chleb cudzy je teraz. Najstarszy się trochę pokierował i jest leśniczym w Radziwiłłowszczyźnie.

Hubka uderzył się po czole. — Kasper! zawolał tak głośno, że aż pani Supelkowa podskoczyła.

— Przepraszam, rzekł. a to ja go znałem, ale go

zawsze Kasprem Białym nazywali, i zapomniałem nazwiska.

— A! tak! bo ma włosy jak len, nawet ładny chłopiec, gdyby nie ta czupryna.

— A reszta?

— Drugi podobno gdzieś jest gumienym, a trzeci na czynszu... Córka poszła także za ogrodowego budnika... Ot! co to sie z ludźmi dzieje!

— Prawda! cuda! che, che, cuda! doł! Hubka rad mici którą pochwył i urywając już rozmowę, bo się bał żeby niewczesny wykrzyknik nie wydał jak go Mylińscy obchodzą...

Wieczór oświecony czarnemi oczkami pani Supelkowej zszedł jakoś wesoło i szybko, a nazajutrz niezgrabna ale wygodna bryczka pana Piotra toczyła się już do domu; on zaś puszczać z wolna kłęby dymu z fajki piankowej, przemyślał jak przystąpić do rzeczy, żeby nabyć jak najtaniej a zyskać jak najwięcej. Szczególny traf mieścił mu pod ręką prawie najstarszego z Mylińskich, który był leśniczym w dobrach Radziwiłłowskich, gdzie pan Hubka miał dawne i jeszcze niezerwane stosunki ze wszystkimi. Że jednak nigdy nie zwracał szczególnej uwagi na Kaspra Białego, musiał teraz zbliżyć się do niego nieznacznie i starać go poznać, nimby o interesie przemówił.

Pan Hubka robił wszystko jak widzimy ostrożnie, wolno, po cichu a systematycznie, i krwi mu niecierpliwość nie psuła. Mówił nawet czasem że z flegmą i z uporem wszędzie zejść można, gdzie człowiek zapragnie.

Długo namyślał się jak się zbliżyć do pana Kaspra niby z przypadku, a że ekonom kluczowy, gdzie służył Myliński, był mu dobrze znajomy i czasem go

na polowańka zapraszał, choć nie wielki myśliwy, bo dla wódki i bigosu więcej niż dla zwierzyny jeździł na wilki i sarny, postanowił pod pozorem myśliwstwa pojechać na miejsce. Wyczekał dni parę, dobrze się rozpatrzył, rozważył, nareszcie kazał znowu zaprzęgać i znajomą drogą zjechał do folwarku głównego. Przyjął go wąsaty pan ekonom z wielką radością i bardzo uprzejmie, wieczorem do północy ponczyk był w robocie, a nazajutrz rano ułożyli maleńkie polowańko.

— Masz-że ty leśniczego? zapytał pan Piotr.

— A jakże! pan go zna podobno. Kasper Biały?

— A! ha, ha! Kasper Biały! prawda! prawda! przypominam sobie. Nawet ciekawybyś go zobaczyć, mówią że ich ojciec miał się dobrze.

— Słyszę nawet z *obywatelów*, odpowiedział ekonom. Ojciec ich stracił wszystko na proces.

— Poszlij no po niego, rzekł Hubka, chciałbym się od niego dowiedzieć o tem, to musi być ciekawa historia; ja bardzo lubię takie rzeczy.

— Będziemy jechali koło jego chaty, to wstąpię.

Tak się i stało, na wybrzeżu lasu zatrzymali się przed maleńkim dworkiem z bierwion sosnowych, przy którym niewielki tylko był ogródek i stajenka. Na głos donośny ekonoma wybiegła ze drzwi młoda, ale blada i schorowana kobieta w stroju szlachecianek czynszowych, w chustce na głowie, koszuli i fartuchu, z szkaplerzami na piersi.

— A gdzie twój mąż? spytał ekonom.

— W lesie, proszę pana.

— Dawno wyszedł?

— Do dnia, nawet nie jadłszy.

— Nie wiesz gdziebyśmy go znaleźli?

— A jakże ja mam wiedzieć, proszę pana, chyba jak posłyszysz strzelanie i psy to nadspiesz.

Wózek ekonomiczny potoczył się dalej, Hubka mileżał lub poświstywał, nareszcie stanęli na miejscu. puszczone psy i polowanie się rozpoczęło. Po pierwszych kilku pustych strzałach, gdy się psy pozaganiały, myśliwi nasi usiedli odpoczywać, i jak przeczuła żona, Kasper Biały przybiegł zaraz.

Był to mężczyzna młody jeszcze, słuszny, barczysty, ale cery wybladłe, zgasłego oka i zwiedły, częsty kaszel z piersi mu się dobywał. Długi dziwnie biały włos spływał mu aż na ramiona. Miał na sobie kurtkę z sieraka, postęły z lipiny plecione, ciężką torbę borsuczą i starą strzelbinę. Zdjął pokornie czapkę przed ekonomem i niespokojnie się oglądał.

Hubka zmierzył go okiem ciekawem, objął całego i od razu uśmiechnął się do siebie, pewien będąc że sprawa pójdzie mu łatwo. Ubóstwo bywa tak dobrym sprzymierzeńcem oszustów!

— Ha! ha! jak się masz panie Kasprze? odezwał się dawny rządcą, któremu bardzo nisko kłaniał się leśniczy; co? możesz mnie i nie poznać?

— Jakto! Jasne panie, przepraszam! poznałem i bardzo! niech pan daruje, dziękuję za pamięć i za słowo.

— No, jakże się tam powodzi?

— Źle się powodzi, odparł młody człowiek wzdychając; ja chory, żona chora, dziecko jedno zmarło, drugie się nagotowało. Tak to z dawna Pan Bóg na nas nie łaskaw, ale nie godzi się narzekać.

— Zapewnie! zapewnie! Jużcić nie źle na leśniczowie?

— Nie mówię ja że mi źle, uchowaj Boże, ale wszakże lepiejby być mogło. Ojciec nasz, dziad, byli w lepszym bycie, gdyby nie hrabia Sulimowski, mielibyśmy kawalek chleba.

— A nie napijesz się waś wódki? spytał Hubka podnosząc kieliszek do góry.

— Dziękuję, kaszel dusi, wódka nie *pasuje*.

— Dobrze waś robisz że wódki nie pijesz, a my panie Atanazy powtórzym, czy co?

Powtórzyli istotnie i dawny rządcą i ekonom po dobrej czarce młodej starki.

— Tak! tak! bieda na świecie! mruknął zatykając flaszkę Hubka; no! cóż robić? Ale jakże to było panie Kasprze, żeście stracili wszystko?

— Ot jak było! mieliśmy wielką sumę na Zakalu.

— Na Zakalu? spytał Hubka niby pytając. niby notując, hm! na Zakalu, mówisz?

— Chcieli hrabiowie kończyć o to układem, coś nawet dziadowi dawali, nie zechciał, bo to był panie jeszcze ze starych ludzi, co to albo wszystko albo nic. Procesowali się i ojciec i dziad i przyszliśmy do tego co pan widzi, że się tułamy po świecie.

— Hm! hm! to ciekawa historia!

— Ojciec jeszcze miał parę chłopów w Podbereziu, ale to do tej pory w administracji, a co dłużej, to więcej rośnie długu, już mówią że sprzedadzą; niech sprzedają, ja nie głupi dopominać się swego.

— To ciekawa rzecz! powtarzał Hubka ciągle nie wiedząc jak do zapytań dalszych przystąpić. A ten proces z Sulimowskim, toście przegrali zupełnie?

— Gdzież tam panie! jeszczeby to się było ciągnęło, gdyby nie z takim panem, ażeby był grosz, ale jak

chleba nie stało, nie stało i procesu.

— Ależ musicie mieć choć papiery. wykrztusił rządcę.

Oczy Kaspra błysły niespokojnie, widać było że się wahał wygadać zupełnie, spuścił głowę. Coś to tam jest trochę, rzekł po cichu.

— No! no! trzymajcie choć to, odezwał się pan Piotr, może kiedy kto wam pomoże, to jeszcze co odbierzecie. Teraz w Zakalu inny pan, z nimby było może łatwiej.

Ekonom, który już znając Hubkę z dawna, całej się rzeczy domyślił, począł mu bardzo zrecznie dopomagać.

— A co Kasprze! rzekł, kto to wie, jeszcze ci się gotowa uśmiechnąć fortuna? cha! cha!

Leśniczy coraz bardziej stawał się uiedowierzającym. bieda uczy nienfności; zamknął się w 'sobie, ruszył ramionami tylko.

— Gdzie nam o tem myśleć, rzekł cicho.

— A czemu? odparł Hubka; czasem w sto lat odzwie się sprawa, gdy ją kto poprzeć umie.

— Niech pan mnie głowy nie zawraca, wiem ja że to darmo.

— Zapewnie, lepiej żebyś się nie durzył rzekł spekulant zupełnie obojętnie; ale kto to wie? Bardzom ciekawy co to był za proces, nie pokazałbyś mnie papierów?

Kasper obejrzał się do koła tchórzliwie jakby wpadł w matnię, z której się nie wiedział którędy wywinąć, poskrobał się w głowę, spojrzał na rządcę z bojaźnią i nic nie odpowiedział. Potrzeba znać wagę jaką przywiązuje zubożała szlachta, nie umiejąca czytać i pisać,

do zbutwiałych papierów, ostatniej reszty dawnej swej zamożności, żeby sobie wytłumaczyć bojaźń i niespokój Kaspra. W Owruckiem u wielu rodziu trwożliwych o zachowanie swoich aktów, często je znajdziesz ponkrywane w ulach, barciach, po dzinplach starych drzew, zakopane w garkach w ziemi, w tysiące szmat poobwijane. Obcemu dotknąć ich nie wolno; zapytać, jest to już obudzić strach paniczny. Kasper, któremu ojciec na śmiertelnej pościeli polecił żeby pilnie zachowywał papiery jako jedyny ślad majątku który kiedyś odzyskać mogli, obawiał się o nie tak, że co kilka tygodni innego na swój kuferek szukał schronienia. Można więc wyobrazić sobie jego przestach, gdy mu rządca wspominał papiery.

— Papiery sie po ręku roztrzesły, rzekl nareszcie, tam troche, tu troche, nie wiedzieć gdzie ich szukać.

— Szkoda, zapalając fajkę dorzucił Hubka, bo ja-bym może tego Bala potrafił przydniść i odzyskać wasze. Żal mi was nieboraków że tak giniecie, dobrzeby wam i tysiąc rubli wziąć.

Rzuciwszy to słówko powstał i udając że nie więcej nie ma już do powiedzenia, począł się zbierać do odjazdu.

Kasper stał jak wkuty, rozmyślając, wahając się i bojąc. W tej nędznej chatce, chorej żonie, dziecku i jemu troche pieniędzy tak były wielkiem dobrodziejstwem, troche spoczynku takim szczęściem, troche niezależności tak wielką nadzieją!

Ale ubogi przywykł się lękać. Jego zastrasza wszystko, czuje że nieprzyjacielem mu świat cały, począwszy od wichru chłodnego który go smaga nie patrząc na zdarte szmaty odzienia, aż do człowieka co go przesładuje nie mając litości nad jego nędzą.

Niepodobna było dłużej nalegać zrzęcnemu panna Hubce, który postanowił wszakże swojego dopiąć w inny sposób. W drodze więc poczał cichą, tajemniczą znowę z panem ekonomem i twarz jego dojeżdżając do folwarku wyjaśniła się znowu.

— Mam go w ręku! mówił cicho uśmiechając się, grunt jest! rzeczy dobrze stoja!

W kilka dni potem, błądy, jasnowłosy leśniczy, ów Kasper Biały zjawił się u pana Hubki, do którego nierychło przypiszczoney został.

— A co chcesz mój kochany? zapytał rzadca dawny, udając że go dla nawalu zajęcia prawie nie poznaje: mów, a prędko, bom zatrudniony bardzo.

— A! Jasnie panie, nieszczęście! zawołał łamiąc ręce Kasper...

— No! cóż tam u licha! nie durz mi głowy, mów a prędko!

— Żonisko chore, dziecko nie wstaje, ja ledwie lażę, a tu i leśniczowstwo administracja odbierać chce; co ja nieszczęśliwy z sobą pocznę?

— Za co? jak?

— Albo to ja rozumiem co pan rzadca mówi? Coś tam administrator zrobił. że się bez leśniczych mają obejść, podobno jakichś niemców posprowadzali, czy coś. a nas wyrzucają.

— A cóż ja ci na to poradzę? spytał Hubka.

— Niech się Jasnie pan wstawi za mną.

— To nic nie pomoże, administracja skarg i piszczenia nie słucha, moje dziecko, bo administracja to nie człowiek ale machina! Ot na przykład jak sieczkarnia, jej nic do tego co tniesz, byle cięła, włóż i rękę, to ci ją chłanie!

— Niechże Jaśnie pan mnie biednego człowieka i to sieroty ratuje.

— A co ja uo to poradzę? u mnie las mały, miejsca ci nie dam, bo i pobereźnikiem się obejdę, oficjalisty nie potrzebuje.

— To może gdzie podrekomenduje mnie pan.

— A daj ty mnie pokój! gdzie ja ci tu znajdę miejsce! Radziwillowski oficjalista uigdzie w okolicy przyjęty być nie może, boją się ich jak ognia.

— To ja nieszczęśliwy z głodu umrę! zawołał Kasper z wyrazem, któryby był skałę poruszył i zaczął płakać; i cóż ja! ale żona, ale dziecko!!

Hubka stanął trochę polechtany płaczem, bo dowiedzioną rzecz, że kogo lzy nie poruszają, tego przynajmniej niecierpliwia.

— Ale mówilżeś mi podobno, czy to ty, czy jaki inny szlacheć, o jakichś papierach, procesie? możeby się z tego co dało dla was wyzyskać i nie potrzebowałbyś służyć. Miałbyś swoją chatę, kawał gruntu i kawał chleba spokoju.

Kasper się uląkł znownu, ale ten strach przemogło niebezpieczeństwo bliższe, więcej grożące, potrzeba nadziei chwytająca go za gardło.

— Mam ci to ja papierzyska, rzekł, ale co z nich! one ojca do kija i torby przyprowadziły.

— No! a ciebie mogą na nogach postawić! zawołał Hubka. Gdzież je masz?

— Gdzieś tam są w domu, cicho rzekł szlacheć.

— No! nie ręczę, ale kto wie, może w nich jedyna dla was nadzieja; jedź i przywieź mi te papiery...

Rad nie rad Kasper ze łzami w oczach, ze strachem w sercu, uklonił się, zawrócił, pojechał, walczył z sobą

całą drogę, wahał się otwierając kuferek, ale stęknienie żony, płacz dziecka do reszty go złamały.

— Dziej się wola Boża, rzekł zabierając pliki powiązane, nie dało to nam chleba, nie ma co żałować, przepadliśmy z niemi, niech je lichy bierze.

Dobłą chustą nawiązawszy Kasper tych dokumentów cuchnących mółem i wilgocią, ruszył znowu do pana Hubki, który czekał chłopaka z niecierpliwością uajwiększą. Ale po drodze żał jeszcze wziął szlachcica, przypomniały się słowa ojcowskie, który powierzając straż papierów starszemu synowi, jako głowie rodziny, zaklinał go by ich lekko z rąk nie puszczał, i Kasper zastanowiwszy konia już się chciał zawrócić. Wiatr przyniósł mu jakby płacz żony, jakby jęk dziecięcia... o! potrzeba było jechać! Ale z chusty wyjął Kasper kilka plików, i choć czytać nie umiał przeczuciem uchwyciwszy je, wybrawszy, schował głęboko zanadto. Potem zaciął konika i ciągle płacząc stanął przed dworem spekulanta.

Tu już drzwi znalazł otwarte.

Jakże chciwie rzucił się on na papiery! Jego żądze porównać tylko było można z bojaźnią biednego Kaspra, który mu po jednym licząc dawał dokumenta i z oka ich na chwilę nie spuszczał, badając z przestrochem twarz Hubki. Ale na niej sam szatan nie by był nie wyczytał, tak doskonale w sąłłowatych zmarszczkach i opasłych policzkach krył się wszelki wyraz pod zasłoną głupowatości. Nie drgnął, nie uśmiechnął się, nie odezwał, a że ogromną miał wprawę, rzuciwszy okiem przelotnie na kilka głównych aktów i dokumentów, objął cały ów proces i mógł już sądzić o nadziejach jakie dawał.

Szlachcic zbierał skrzętnie papiery ze stołu i wiazał

je sznurkami pospiesznie, a Hubka popijając piwo w milczeniu się przechadzał po izdebce słowa nie mówiąc, nareszcie splunął, chrząknął, usta nadął i rzekł:

— Co to? u ciebie to szpargaly, wy z tego nic nie zrobicie, ale jakby kto inny koło tego chodził, mógłby jaki grosz kapnąć. Serce bilo Kasprowi, że ręce drżały. że sznurka którego trzymał zawiązać nie potrafił

— A cóż robić Jaśnie panie?

— Albo ja wiem co tu robić? ruszył stary ramionami, rzucić w piec i po wszystkim.

I znowu długie ciężkie nastąpiło milczenie, szlachcicowi lzy jak groch kapwały na papiery...

— Ta! gdyby nie to że człowiek ma litość i serce, co grunt, cha! cha! odezwał się Hubka siadając poważnie — nigdyby za to nie warto rąk zaczepiać; — ale wy biedni jesteście, a was podobno troje?

— Czworo, Jaśnie panie! bo Klarusia siostra czwarta.

Tem ci gorzej!... Trzeba by wam poradzić jakoś, choć to trudno. Ot tak, mesanie, ja zresztą wziąłbym się za ten interes, ale tu trzeba pieniędzy i wiele pieniędzy i wiele pracy, a mało może być zysku... co wam myślicie dam?

Kasper słuchał związując chustkę, nie śmiejąc rzec słowa.

— Hm! hm! odezwał się niiby namyślając Hubka, jeśli chcecie to tak zrobimy: ja wam wykupię i odzyszcze waszą częśćkę w Podberezin i oddam czystą, a wam ten interes odstąpię. Może na tem stracę, no! ale dziej się wola Boża! Poradź się wać ze swymi braćmi, z siostrą, podumajcie... jak chcecie...

— A kiedyż by to było? nieśmiało spytał Kasper, który i obawiał się i cieszył i nie wierzył...

— Już ja w tem że waszę cześć odzyskalbym wam za miesiąc, a wy odstąpilibyście tych papierów...

-- A ta cząstka byłaby bez długu i nasza, całkiem nasza z chłopami, z ogrodem, z domkiem gdzieśmy się urodzili... z pasieką... przerywanym głosem mówił powoli Kasper, przed którym jak sen stawało porywające marzenie, co ciągnie człowieka do miejsca, gdzie stała jego kolebka.

— Wszystko, wszystko bym wam odzyskał, rzekł Hubka, dalbym wam ładny kawał chleba, ojcowiznę! pomiarkujcie, poradzcie się, a prędko! Bywaj Waćpan zdrów!

— I to pewno Jaśnie panie? nie mogąc utaić wzruszenia, wykrzyknął Kasper Biały.

— Wiesz że nie żartuję, ruszaj, myśl i powracaj, masz wóz i przewóz.

Tych słów domówiwszy Hubka odwrócił się do karcianki z piwem, a leśniczy z ukłoniem wyrwał się z izby i pospieszył do swoich.

Ażebym pojąć jak ten prześlicznie osnuty interes chciał przyprowadzić do skutku pan Hubka, grosza z kieszeni zaś nie dając, wiedzieć potrzeba, że cześć Mylińskich w Podberezin zostawała w administracji tylko dla tego, że nikt w rachunki szczerzej nie wejrzał, za uciśnionemi się nie njął, a sam pan sekretarz Marszałkowski pod cudzem imieniem w niej gospodarował. Hubka więc mógł łatwo z plenipotencji dotrzeć o kalkulację i odzyskać Podberezie bardzo małym kosztem. Uśmiechało mu się to tem bardziej, gdy z papierów dostrzegł, że pretensja Mylińskich do Zakala, wprawdzie zadawniona i dawnościami przybita, była czysta i pewna. Kręcielstwo tylko i przemoc Sulimowskich zniweczyło ją, a

raczej do czasu usunęło. Suma dwóchkroć sto tysięcy, gdyby nawet przyszło stracić wszystkie procenta *alterum tantum* wynoszące, była jeszcze piękną bardzo gratką dla starego spekulatora, zacierającego ręce z radości, że mu się tak ślicznie jak po maśle kleił interes, co go miał bogatym uczynić.

— Śmieli się ze mnie, śmieli, jak z durnia! rzekł do siebie popijając piwo, otóż ja im pokażę, co to uparty dureń znaczy! Oni myślą że wszystek rozum u tych co go na wierzchu noszą? ba! ba! kto co ma dobrego to obwija i chowa! Samiście durnie, zobaczycie! cha! cha!!

I w różowym a raczej piwnym humorze spać się położył godny pan Hubka.

ROZDZIAŁ IV.

G o s c z d a l e k a.

My powrócimy do naszego złotego jabłka, do umajonego w liście i zieleni strojnego, ale smutnego Zakala. Niespodziewany gość zawitał tu do starego dworu, był to Strumisz, którego niepokój, wezwanie kupca, a może i więcej coś jeszcze wiodło ku temu miejscu. Pierwszy to raz pracowity niewolnik, co całą młodość swoją przykuty do stołu przepędził w pracy zaslaniającej mu świat Boży, wyrwał się na szersze pola, na to co zowią wsią, a co mu się jak pannu Balowi wydało rajem, ozłoconym jeszcze młodością jego i dotąd tłumionym poetycznym zapalem.

Dla biednego sieroty wszystko a wszystko było tak nowe, niespodziane! W tych wrażeniach jego przebiegało się coś pierwszego rozbudzenia do życia dziecięcia, które sny przedświatowe i przeczucia świata równa z tem co je otacza i przypomina. że to gdzieś widziało i wita jak znajome...

Strumisz także znalazł świat, ale więcej daleko z książek i ludzkich powieści niżeli sam przez się; teraz po raz najpierwszy stopą dotknął ziemi, u której wrót stał całą młodość pierwszą stęsknioną i krwawym obłąany potem. Jakże mu się dziwnie, uroczyście pięknem wydało wszystko! Tak może budził się Miltonowy Adam, u boku swojego znajdując Ewę, której mu brakło. Rosa poranku, cisza pól, szmer liści, strumienie, góry, lasy, chaty, obłoki, pieśni rozlegające się szeroko po dolinach nieskończonych... zachwycaly wędrowca który posuwał się upojony, rozmarzony, często oszalały mnóstwem nowych i niepojętych dla siebie wrażeń. Woźnica który z nim jechał, zupełnie pojąć nie miał jego zapалу z jakim stawać mu kazał, leciał po kwiatek i najpospolitszego narwawszy ziela, bawił się niem gdyby dziecko. Nie było smu i spoczynku w tej czarodziejskiej wiosennej podróży; — sen byłby ukradł chwile podziwną i cząstkę wielkiej, czystej rozkoszy. — Cisza nocy wiejskiej głęboka, wielka, straszna, wśród której jak głosy straży odzywają się tylko krzyki zwierząt pilnujących śpiącej ziemi — zarówno z duiową wrzawą przejmowała młodzieńca.

— O mój Boże! mówił do siebie z pełnej wezbranej piersi, płacząc niemal — i są ludzie skazani na to, by nigdy a nigdy nie nczuli co ja czuje! są ludzie coby się może śmiać odważyli z wrażeń moich! Biedni! nieszczęśliwi! Bóg dla nich kazał niebiosom i ziemi odgrywać wielką, cudowną dramę, a oni nie słuchając i nie patrząc orzechy jedzą i jabłka ogryzają! W takich zachwytach, które natchnęły istotnie cudne widoki rozkwitłego kraju co tyle ma wdzięk — jechał Jan do Zakala, co krok nowy znajdując przedmiot uwielbień,

podziwów. Ale w miarę jak się przybliżał do miejsca, inne silniejsze jeszcze niezucie opamowywać zaczęło duszę stojącą otworem wśród tych rozczuleń.

Przed oczyma jego przelatywała Lizia na chmurkach, z wiatrem, w obłokach, kołysząc się białą brzošką nad drogą, szepcąc strumykiem w parowie. Temu natrętnemu obrazowi opędzić się nie umiał i nie mógł, i w miarę jak serce bić zaczynało żywiej, smutniał. Była to miłość bez nadziei, bez przyszłości, skazana na wieczną niewolę, milczenie, poświęcenie i ofiary! Obawiał się by widok tej co ją wzbudziła, nie zakrwawił mu serca, nie przywiódł go do rozpacz, gdy tak był usposobiony do szczęścia! Z każdym krokiem lękał się więcej, tracił resztki odwagi i w końcu cudny widok natury osłonił mu się chmurą i mgłami.

Naglil on półróż półki był dalej od Zakala, poczał ją ociągać gdy się przybliżył, mierzył swe siły i nie znajdował ich w sobie. W dodatku pozostawało mu także ciężkie inne do spełnienia posłannictwo nakazane sumieniem. Od czasu wyjazdu z Warszawy pan Bal uienstannie pisał o pieniądzu, czerpał je z kasy, interesa swoje miejskie poświęcając zupełnie dla widoków na wsi. Listy Stanisława dowodziły że w Zakalu nie było najmniejszej nadziei powetowania strat, które coraz stawały się groźniejsze; potrzeba więc było ukazać nielitościwie naga prawdę oczom zaślepionego i wywieść go z błędu bodaj groźbą. Z tem właśnie jechał Strumisz, a na nim całej rodziny polegały nadzieje.

Nie tał przeł sobą młody człowiek, jak trudny brał na siebie obowiązek, bo nie na świecie cięższego nad walkę z myślą co jak kleszcz wpila się w poczciwą pierś słabego a upartego.

Liczył więcej na wymowę cyfr i rachunku niżeli na swoją własną; miał być tylko narzędziem poznania prawdy.

Cała rodzina siedziała w ganku, gdzie pan Bal stolik i krzesła wynieść rozkazał, dla użycia świeżego powietrza pięknego i ciepłego nareszcie wiosennego wieczora. gdy ktoś oznajmił o bryczce ze dzwonkami przeprawiającej się przez prom. Bryczka ta nie mogła zmierzać gdzieindziej jak do dworu, a Bal już się tak dzwonek obawiał że pochmuriał i zamilkł, gdy mu z tą wiadomością ktoś przybiegl.

— A gdyby to był Strumisz, którego się spodziewamy? rzekł Stanisław spoglądając na matkę razem i na siostrę.

Lizia upiekła prześlicznego raka (doprawdy nie wiem dla czego ten wytrysk rumieńca tak kucharsko ochrzczono), zmieszała się, a chcąc pokryć swoje wzruszenie do zbytku widoczne, zawołała:

— Chodźmy za dom, ztamtąd widać.

— Gdzie tam, odparł Bal, który poczynal w nie nie wierzyć — wyjdziemy i będziemy mieli przyjemność zobaczyć pomocnika lub coś podobnego, wolę czekać na to co los zdarzy.

Parciński ze Stanisławem ofiarowali się towarzyszyć Lizi, ale ona już nie chciała iść, serce jej biło, twarz płonęła.

— Papa ma słuszość... to pewnie jedno z tych odwiecznych, które nas tu tak często spotykają.

Wszystkich oczy zwrócone były na drogę, teraz tylko od dziedzińca kształtnym, niskim płotkiem oddzieloną; dzwonek dziwy w powietrzu wyrabiał, bo pocztarz pod górę swoim zwyczajem leciał jak opętany, mimo

prosb i groźb Strumisza: nareszcie zamyłony podróżny pokazał i nad ogrodzeniem, nachylił ciapki i piękna twarz młodego człowieka zjawiała się oczom ciekawych, którzy klasnęli z radości w dłonie.

Nawet Lizia, najostrożniej sobie pilnująca, zawołała — a! to on!

Okno matki w tej chwili było na niej, bo matka wszędzie z dziećmi ciem...

Paul Bal zbiegł z ganku z otwartymi rękoma, jak syna witając, co mu wiódł zezarowanie tak smutne — twarz jego świeciła dumą, poczciwem weselą i niezuciem życzliwości wezbranemu, bo go na wsi nie mógł wyzafować, nie mając dla niego.

— A! witaj! mieszczuch! witaj! zakrzyknął, na dziedzinie Bałowskiej, na ziemi naszej! A co, albo nie pięknie u nas?

— Wszędzie pięknie gdzie państwa znaleźć można, rzekł Jan oczyma witając wszystkich. — Lizia, Lizia tak ostrożna, najostrożniej czerwona uśmiechała się do niego.

A! cudów niekiedy dokazuje osamotnienie; jakże to się teraz pięknym, zręcznym i przyzwoitym wydał Jan, po wiejskich czupiradłach, na które się do nudzenia napatrzyła! Bóg tam wie co się działo w sercu, ale uczucie musiało być bardzo silne, kiedy się nawet dopilnować nie potrafiło, i aż Strumisza zdziwiła jej uprzejmość, on tak był w mieście przywykł do lekkiego obejścia i żartów.

Nic nie zatrulo tego pięknego wieczora, który dla wszystkich pozostał jasną pamiątką. Nieraz sobie wystawiam życie niby długą tkaniną różnobarwną! Co na niej pstrocizn! co koleców! Jak się to błyszcząc poczyn...

to płótno wzorzyste, bogate, wesołemi posiane plamkami, jak potem w szare rozwija pasy, na których tylko gdzieś tam barw młodości błyszczy przypomnienie... Coraz rzadziej, coraz rzadziej; z szarego w czarne przechodzimy, zgasły świeże kolory. wypłowiła przedzą; wśród czerni już nawet świetniejsza nie przypomina żałobne obwódki, aż w końcu noc... kir i nozve rozcięły pasmo, a tkan owa z wiatrami i wodami poszła na zgniliznę.

Ten wieczór na tkani życia był jasny i prosty, nie go nie zmieszało, nie zbrukało, nie rozcięło. Strumisz nie miał odwagi o niczem mówić, a Bał nie myślał go pytać, rozmawiano tylko o Warszawie, o znajomych a kupiec, który w obec nowego przybycia chciał się koniecznie chwalić, opiewał pochwały tego jabłka w nieprzerwanym dytyrambie. Trzeba było posłuchać jak zamaszysto malował swoje plany, projekty i jak zręcznie filut stary zakrywał te części obrazu, których koloryt nie przypadał mu do smaku, a harmonją jego kompozycji mógł być.

Wszyscy byli weseli, szczęśliwi, jak ci, którzy nie wiedzą, że są chorzy; bo choćby mi zaprzeczyć miano, jedyne miejsce, gdzie jest w tych przelotnych chwilkach, złoty wiek na piasku pustyni. Strumisz był odważniejszy, mowniejszy, niż kiedy. Stanisław czując bliskość Konstancji, choć go jeszcze nie odebrał, rozechmurzył się także. Lizia nie miała jeszcze czasu opamiętać, a poczciwa pani Bałowa, która kochała Strumisza i trochę w nim widziała ulubionej Warszawy, dzieliła z nim radość powszechną.

Jeden Parciński, któremu w sierocem życiu nigdy się nie uśmiechnęła chwila podobna, który miał tylko

matkę i pamiętał jej umierającą, dla którego nie było rodziny ani przyjaciela, siedł na ustroniu, podparł się i smutno milczał. Szczegół, którego nie dzielim, najpoczciwiej nawet trochę zachmurza, choćby się godził z przeznaczeniem swoim, musi westchnąć zapytaniem do miłzającego losu.

— A ja? tyś o mnie zapomniał?

Zapytania grałem się sypały ze wszystkich stron do Jana, tak zwołiwali byli wiadomości; nawet pan Bal, który wsi ogawiającie coraz to się zwracał do miasta. Dowiadano się o losy znajomych i nieznanym, o wypadki, o najdrobniejszych zmiany jakie zająć mogły pod ich ni-bytności. Tak nie nderzało Jana jak Lizia, która za tał wcale inno i na korzyść spoważniała, uprzijmą, łarodnia; cę jej nawet inaczej mówić nie zdawały.

Chwila ta szubką pod wszelki wyraz mięnął ten wieść pamiętny, i tak zmrok, nadzła noc, która w maju późni zwiastuje, odzine, potrzeba było się rozejść. Już się żegnano, już powstawali wszyscy, a jeszcze zapytania i odzewiania trzymały ich w zanku; narezie Bal zwołiał:

A dajmy mu powrócić wczoraj i jutro go będziemy mieli, Staniławie, zabieraj ja swego!

Tego dwa razy nie potrzeba było mówić Stasiowi zniecierpliwionemu długim na list spodziewany oczekiwaniem, pochwycił Strumień i powiódł go do swojej izdebki.

— List! list! na miłość Boga dawaj mi, mój list! rzekł w drodze je zczę, masz list do mnie?

Strumisz milczał.

— Wszak masz list? powtórzył Stanisław

— Jaki? z kąd? spytał Strumisz.

— Czy mnie nie rozumiesz?

— Rozumiem cię doskonale, ale nie chce uwodzić dłużej, listu nie mam.

— Jak to być może! łamiąc ręce zawołał Staś; więc chora może? Ja natychmiast jadę!

— Chwilka tylko cierpliwie ci kochany Stanisławie, rzekł powolnie przybyły, nie jest chora. Miej trochę zimniejszej krwi, a zaraz ci wszystko opowiem.

— Na Boga nie trzymaj mnie w niepewności, to śmierć!

— Dniem przed odjazdem moim poszedłem do Krombachów, według twego polecenia, odpowiedział Jan, zastałem ją dziwnie niespokojną i zmienioną. Spytałem czy pisać będzie, bo jadę, odpowiedziała mi kilka słów tylko, tak była zajęta: — Nie nie piszę, wyjeżdżam w tej chwili; powiedz pan panu Stanisławowi że się zobaczymy.

— Gdzie? jak? zapytał niecierpliwy Staś.

— Nie nie powiedziała więcej, nie śmiałem nalegać zresztą, ale wiem że tegoż dnia bardzo nagle i spiesźnie z wielkim żalem pocciwych Krombachów, co się do niej przywiązali serdecznie, zmuszona pożegnać ich, wyjechała. Mówili mi że odebrała list jakiś sztafetą, że długo myślała, wreszcie rozplakała się i natychmiast poczęła spisać do wyjazdu.

Stanisław stał odrętwiały, zbladły, przestraszony. — Ale powiedzże mi, naglił, jak ci mówiła, co ci kazała powiedzieć?

— Najwyraźniej kazała mi oznajmić, że ją zobaczysz wkrótce.

— Mówiła wkrótce? To rzecz niepojęta! Dla czego opuściła Krombachów? kto ją powołał? dokąd?

Nie umiejąc rozjaśnić tej zagadki młodzi ludzie, rozmawiali w noc długo. Strumisz napróżno starał się zwrócić rozmowę na inny przedmiot. Stanisław zawsze rozpoczynał go pytać o Konstancję. Polecał nawet na chwilę do matki, żeby się z nią smutkiem, niepokojem i obawą podzielić. Ale prócz wyrazów pociechy chrześcijańskiej, cóż dla niego mogła matka? Złożyła tylko na gorącej głowie orzeźwiający pocałunek błogosławieństwa.

Już ranek łwiał szary i świat się budził do boleści i pracy, dwóch swych celiw powszednich, gdy Stanisław usnął snem gorączkowym i nie pokojnym zmorzony rozmyślaniami: Jan po podróży, która wyczerpała siły jego znużeniem i zachwytem, leżał kamieniem.

Nie długo pospali, bo pan Erazm, który się przy muszał do ранnego wstawania, uważając je niejako za obowiązek wiejskiego życia i gospodarskich zajęć, wpadł do izby syna.

— A co? śpicie? leninchy! a słońce na niebie wysoko, a słowiki tuą kuranty na darmo i roś się świeci na listkach i Zakale wyświeża się choć go nikt prócz chłopków nie widzi w tej perlistej koronie poranka. Wstawać! wstawać! Mości panowie.

Taką apostrofą rozpoczął dzień swój pan Bał i wkrótce pochwyciwszy Strumisza, któremu pilno mu było wszystko pokazać i wszystkiem się chwalić, powiódł go nie dawszy mu się nawet ubrać, na pola i lasy przez niezgruntowane piaski.

Pierwsze zapytania, które się wmięszały do rozmowy, były hasłem rozpoczęcia wyznań przykrych ale koniecznych.

— Jakże idą interesa? rzekł kniute między jednym

połem a drugim wiodąc, po obejrzeniu oziminy, Strumisza na oględy niedawno posianej jarzyny.

— Szłyby bardzo dobrze, odparł Jan, gdyby...

— A wszędzie są gdyby! kończ.

— Przywiózłem szczegółowe rachunki i sprawozdanie ze wszystkich czynności, rzekł młody człowiek, z niego się pan łatwo przekona, że nie byłoby tego *gdyby*, gdyby nie Zakale.

— A to co? rzekł pan Bal stając.

— W istocie, począł Strumisz zbierając się na odwagę i siły, wszystko u nas idzie nadspodziewanie dobrze, ale handel potrzebuje ciągle kapitału obrotowego na zawołanie, a ten znacznie się umniejszył i codzień go ubywa. Zakale wzięło nam najprzód co było potrzeba na kupno, odtąd nie dało jeszcze grosza, a ciągnie co z kąd wpłynie. Rozkazujesz mi pan przysyłać pieniądze, nie mogę mu się sprzeciwić, ale ze strachem widzę, że będziemy musieli zmniejszyć interesy nasze, bo na dawną skalę nie podolamy im.

Pan Erazm się zmarszczył.

— Nie tak-że to ja wiele wziąłem! szepnął z cicha jakby się wymawiał.

— Kupno same z kosztami ubocznymi wzięło nam przeszło trzykroć sto tysięcy, od tej pory z górą sto wyczerpuje z kasy.

— Nie jest to tak wielki kapitał, począł Bal przychodząc do siebie. Tu trzeba ci wiedzieć, także obrotowy kapitał jest niezbędny! Majątek przepyszny, ale na nieszczęście *in crudo*, sum wielkich potrzeba żeby produkował; młyny stawiać, huty zakładać, gospodarstwo podnosić, włościan oczynszować podobno, a to się bez strat nie obejdzie.

— Ale handel nie jest w stanie panu na to wystarczyć! z przestrachem rzekł Strumisz.

— To toż, powiem ci pod sekretem, szepnął kupiec, chcę handlu i kamienie się pozbyć, a całym kapitałem tutaj ruszyć.

Strumisz pobladi.

— Bardzo to dobrze, rzekł powoli miarkując swoje wzruszenie, ale możnaż być pewnym, że w ten sposób umieszczony kapitał da stosowne zyski?

— Zupełnie pewnym! najpewniejszym! zawołał Bal sciskając za rękę Strumisza, tylko mnie posłuchaj. Teraz majątek ten nie robi nad kilkanaście tysięcy, to prawda, ale wprowadzę plodozmian, owce poprawne, rzędową uprawę, buraki, cukrownię...

— Ale mi się zdaje, że tu buraki udać się nie mogą.

— Dla czego? oburzył się kupiec, buraki się rodzą wszędzie. tu sieją mnóstwo buraków, wiem to od ludzi... nie przerywaj mi! Potrzeba jeszcze młynów, gorzelni, browaru, huty, a dopiero pokażę co Zakale znaczy!

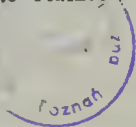
— To wszystko może drugie tyle co majątek kosztować. cicho rzekł Strumisz.

— Gdzie tam, w dwójnasób tyle! śmiejąc się i tryumfując dodał kupiec. Ale co to da! co to da!

Jan nie wielział już co na to odpowiedzieć, ale na ten upór niezłamany nie widział sposobu, gdy to co pomiędzy miało pogorszało sprawę.

— Niepodobieństwem. rzekł, wszystko rozpoczynać razem. nagle...

— Na co mam czas tracić? czas najdroższy to wiesz, jedno mi trzyma, żem dał żonie słowo do terminu pewnego nie sprzedawać realności tamtych... ale byle



doczekać pory, hurtem wszystko puszczyć! Sprowadzam agronomów i techników z zagranicy, burzę, wale i radykalnie nowy tworzę majątek. W tem będzie mój tryumf! Chcę chorągiew postępu przemysłowego zatknąć w tych pustyniach.

Uczciwe uniesienie tak pięknem czyniło krąglutkie oblicze pana Bała, że Jan nie miał siły słowa wyrzec. ani się sprzeciwić.

— Mnie się zdaje, dodał tylko po chwili, że najprzód co do tych wszystkich zaprowadzeń nowych, reform i nakładów potrzebaby się poradzić specjalnego człowieka. Jakkolwiek nie przeczę panu dobrodziejowi znajomości rzeczy, wołałbym żeby w tak ważnej sprawie ktoś całkiem pewien swego dał plan i stanowczo wy-rzekł.

— W tem masz słuszość, odparł pan Erazm, rad że mu Strumisz nie odradza, sprowadzimy tu kogoś wprzód, właśnie o to chciałem ci prosić. byś mi kogo od pana Oczapowskiego nastreczył. Ale patrz no jak ten owies ślicznie schodzi, dodał schylając się z uśmiechem kupiec.

— To groch, Jaśnie panie, poprawił nadchodzący Krużka z szyderskim trochę wyrazem twarzy.

— Chciałem mówić groch, zagadał Bał, pyszny groch!

ROZDZIAŁ V.

Same niespodzianki.

Stanisław chodził tak strapiony i zmieniony niepokojem, że ojciec nawet, który mu się mało przypatrywał, postrzegł jego cierpienie, posądzając go o chorobę.

— Czy ty niezdrow? spytał go przy obiedzie.

— Ja? nie, kochany ojciec, czuję się jak zwykle, nie mi nie jest.

— Zdaje mi się żeś czegoś od wczoraj zmizerniał, możebys się poradził, poslalibyśmy po doktora.

— Dziękuję papie, ale nie widzę potrzeby.

W istocie twarz Stasia malowała to głębokie w sobie cierpienie wewnętrzne, które jak pożar mający wybuchnąć wprzód pożera wszystko czego dosięgnąć może, usiłował je ukryć, wybijało się mimowolnie, potężniejsze nad władzę co je zwyciężyć chciała.

Tegoż dnia Parciński, który jeździł do Nowin i na granice, a u karczemki na trakcie spotkał się z znajomymi, przywiózł wiadomość o coraz niebezpieczniejszym stanie hrabiego Sulimowskiego.

— Powiadają, rzekł przy wieczerzy, że słabość przybrała charakter nadzwyczaj groźny, i z kilku lekarzy nikt za życie nie ręczy, chyba cud by go uratował. Cała rodzina zwolana do łóża jego się zbiegła; dziwy plotą. Pojechał tam i ksiądz dziekan z Podberezia, święty kapłan i śmiały człowiek! mówią że nie wahał mu się w tej chwili uroczystej wystawić przed oczy całego życia przeszłego, zalecając żal i pokutę.

— A cóż to dziwnego? rzekł Bał.

— To nie, odparł Parciński, ale co rzadko, hrabia słyszę na prawdę się upamiętał, i chce krzywdy jakie w życiu porobił komu nagradzać. Mówią nawet że ta porywczą skrucza zastrasza żonę i dzieci, którym gdyby przyszło szczerze obrachować się z przyszłością, mogłoby nie dużo pozostać.

— Zmiłujcie się! z niecierpliwością przerwał kupiec, przesadzacie zawsze w sądach o Sulimowskim. Może być że miał żyłkę do procesów, ale to nie był zuowu tak bardzo zły człowiek!

Parciński otwarcie się rozśmiał.

— Daj Boże zawsze i wszędzie tak pobłażających sędziów jakim jesteś Waćpan dobrodziej.

— Nie, nie, ale potrzeba być sprawiedliwym...

Na te słowa wszedł Moszko stary, który od niejakiego czasu w niedostatku gości, a z powodu rozsądku swego oceniony przez pana Bała, miał wolny przystęp do niego w każdym czasie.

Moszko zawsze przychodził z nowinami, czy domowemi, czy zagranicznymi, ale nigdy z próżnemi rekoma-

— A! witam gości! zawołał kupiec wstając i idąc przeciwko niemu, gdy arędarz okiem uważnem już wszystkich policzył i utkwil właśnie wzrok w nieznajomym

Strumiszu. — Cóż tam słyhać?

— Co ma być słyhać? nie, cicho, tylko o naszym dawnym panu bardzo coś gadają.

— No! coż takiego? spytał kupiec.

— Zobaczy pan że się potwierdzi com ja przywiózł, dodał Parciński.

— Gadają, że bardzo chory, a już mu doktorzy nie wiele życia obiecują; jeszcze mówią kilka dni, szkoda człowieka!

— Widzisz panie Tomaszu i on go żaluje, przerwał Bal.

— Ja każdego żaluje, z westchnieniem rzekł stary, jednego że tu potrzebny na świecie, drugiego że się nie zrobił potrzebnym.

— Ślicznieś powiedział! ale coż tam więcej plotą? pytał kupiec.

— At! at! zwyczajnie ludzkie gawędy. Powiadają że cały swój majątek rozdaje... Nawet jedną daleką krewną, o której myśmy tu nigdy nie słyszeli, sprowadził aż z Warszawy.

Staś się rzucił na krzesło, pochwycił gwałtownie z miejsca i poczerwieniał; matka go tylko zrozumiała.

— No? a toż czego? począł Erazm.

— Bo to widzi Jaśnie pan. on z jej dziadami miał procesowanie. Nu! różnie tam bywa w sądach. Może tam co wziął, czego nie powinien był brać, a chce teraz oddać. Zresztą czy ja wiem? ludzkie gadania, zwyczajnie. Taki to straszno przed panem Bogiem stanąć!

Wszyscy umilkli, Stanisław palił cały, niespokoił się, chodził, domyślał i lamał z nadzieją. której się obawiał przypuszczać.

Pan Bal wyszedł ze starym, Parciński wymknął

się za niemi, Stanisław żywo przybliżył do matki.

— Ona jest w Sulimowie! zawołał po cichu, jestem tego pewny!

— Cierpliwości kochany Stasin! jeśli ją tak los do nas przybliży, kto wie co Bóg o was myśli, módlmy się i czekajmy.

Strumisz w czasie cichej rozmowy matki z synem, pozostał w tym samym pokoju, ale tak jak sam na sam z Lizią, która nieopodal od niego siedziała, prawie go oczyma wyzywając do rozmowy. Jan jednak przybliżyć się nie śmiał; był on z tych ludzi surowych dla siebie, namiętnych albo walczących z uczuciem, co najzimniej ze powierzchownością pokrywają najcięższe serce. Położenie jego względem Lizi tak go od niej oddzielało, że przez samą dumę nie chciał z zakresu wychodzić, by się nie narazić na wygnanie z raju, który nęcił jego stopy. Dawne szyderstwa i nielitościwe przygryzki dziewczęcia, tkwiły mu jeszcze w pamięci, obawiał się nowych. Ale Lizia tak się powoli zmieniła. Ów schwytyany ukradkiem dziennik, a potem pobyt na wsi, osamotnienie rozmarzające i egzaltujące, łatwo wiele na nią wpłynęły. Nie było to dziecko trzpiotowate, ale dziewczę o smutniałe i... powiedzmy wreszcie całą prawdę — zakochane!

Jak to do tego przyszło Bóg wie jeden, są tajemnice niezbadane, miłość się często poczyną od szyderstwa, czasem od nienawiści, niekiedy od obojętności długiej; nikt jeszcze nie zbadał jej przyczyn. nie zakreślił drogi, nie oznaczył pochodzenia.

Nie zawsze pierwsze wejście niepokonane zarzuca więzy, a kto wie czy powolnie wyrastająca namiętność nie jest jak wiekami rosnące drzewo, na trwalszy

być przeznaczona. Szkoda, zaprawdę szkoda, że jaki psycholog nie przedsięwziął dotąd monografii tego uczucia, tak wielką rolę grającego na świecie, które tak długo za prosty wynik materialnych popędów miano. Coby to była za piękna historia: dzieje miłości, od urodzin jej w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, od młodości której dosięgła w czasach rycerskich, do wertycyzmów i dzisiejszego upadku uczucia, które się rozplynęło w dymie cygarów i rozprysło w szumach szampana!

My powróćmy do Lizi i Jana, o trzy kroki od siebie w milczeniu poglądających ukradkiem. Strumisz zdaje się zatopiony w kontemplacji Zakala i chrześcijańskich studól jego. Lizia bawi się brausoletką, której niby zapiąć nie umie. Niekiedy on spojrzy ku niej przelekkły swoim zachwalstwem, to znowu ona piękne oczki wlepi w ślicznego chłopaka któremu mówić się zdaje: — Cóż tam tak ciekawego upatrzyłeś pan w oknie?

I trwa to milczenie długą chwilę. Jan nie śmie się ruszyć, Lizia myśli tylko od czego począć. zmuszoną się widząc do rozpoczęcia rozmowy.

— Co za obojętność! mówi do siebie, miałaby zapomnieć, czy tak dobrze udaje, czy tak się mnie boi?

Wstała nakoniec z krzesła, ale gdy już usta otworzyć miała, ona co się nie lekła nikogo, zmięszała się jakoś...

— Jakże się panu Janowi *nasz* kraj podobał? chciałam mówić *ten* kraj? dodała szybko.

— Mnie się wydał przesliczny!

Mnie com tu już zimę przebyła, szkaradny! smutno! pusto! wielka trumna w której tylko wieko jeszcze otwarte...

— Daruje mi pani, że się jej sprzeciwię... ale do-
prawdy dla mnie osobliwszy ma urok wioska, może
dla tego że ją raz pierwszy oglądałam. Jest w niej coś
co przypomina sercu, jakiś byt dawny, patriarchalny,
pierwotny, owe wieki które ozłociło oddalenie...

— Wszystko to piękne, odparła Lizia, ale gdybyś
pan tu z nami, wśród pustyni i ciszy niecznośnej prze-
był zime wiekiście, o! nie tak byś mówił.

— Może, ale i ta pora swój wdzięk mieć powinna...

— Tak! dymiące kominy, czarna pełna pieca, wicher
wiejący przez ziały i widok brudnych śniegów, bo
wyobraź pan sobie, na tem Polśiu śnieg nawet nie
biały, ale jakiś brudny. Ledwie spałł, już go nazajutrz
smolne dymy okopcily.

Jan się serdecznie rozśmiał.

Pan mi nie wierzysz? zapytał mamy; nie ma nic
brzydszego jak ten brudny całun ziemi, którego nawet
deszcze splukać nie mogą, póki go sobie nie zabiorą.

A jednak pani wyjeżdżałaś z takim npragnie-
niem wsi, odważył się powiedzieć Jan.

Przyznaje się do tego, odparła cicho Lizia, ale są
rzeczy i osoby, do których wartości człowiek się wżno
poznaje.

Tych kilka słów wyrzekła z tak niezręcznem wzru-
szeniem, że Strumisz zadrżał cały, ale prędko przyszedł
do przytomności, opamietywając się, że to czemu na-
dawał znaczenie, mogło go nie mieć w istocie i być
przypadkowo rzuconym słów zbiegiem.

Wszakże chwilowe milczenie, niepostrzeżone wzdrgnię-
cie, dowiodło Lizi że została zrozumianą choć na chwilę.
Zdało jej się że zanadto powiedziała wyraźnie i dodała
szybko:

— Mówie to o Warszawie, o mieście.

Ale tłumaczenie gorę było jeszcze od tekstu, i kto inny nie Jan, byłby z tego wykładu domyślił się że nie mówiła o Warszawie.

— Jakże mi żal że pani tęskni za miastem, odparł z wstępnym uśmiechem.... a tu ani myśleć o powrocie do niego.

— Cicho, cicho, cicho zawsze łagodnie odezwiała się z uśmiechem i wpatrzaniem uroczym Lizia. najniepodobniej... Lizia... rzeczy, kto wie?

I te słowa zawsze były tak dwuznaczne, choć i one mogły się tłumaczyć Warszawą i miastem.

— Ale kłóć tak, miały by na nierodobne rachować, rzekł Jan.

— Naprzykład ja, odpowiedziała Lizia, zdaje mi się że to najłepiej. Ja zawsze rachuję na to co się obrać chować nie daje, i zdaje mi się, że gdybym zinną, pospolitą... była tylko to co pewne... a! to by być nie warto i być młodym! Ale pan przywykłeś, dodała, do ksiąg rachunkowych i cyfr nieubłaganych.

O to prawda, rzekł coraz bardziej pociągiony ku niej Strumiż, który się zapominał, nie samo księgi nauczyły mnie tego, ale całe moje życie. Ja nie nawet boję przeszłego i spełnionego, żeby mi i tego kto nie wydarł.

— O jeśli tak, z uśmiechem figlarnym przerwało dziewczę, to pan pewnie musisz pisać dziennik...

Twarz młodego człowieka oblała się szkarlatem, zdrętwiał prawie, ale rychło przywrócił do siebie. -- Zgadłaś pani, odpowiedział, nie mając przyszłości, chce sobie podwoić przeszłość..

Ale odziś się być takim nieznośnym tchórzem?

spytała obracając branzoletkę na reku Lizia. To wczesna starość! pozwalam już biednym posiwać się żeby się sobie bali, ale my?

To *my* tak słodko brzmiało w uszach Jana, i co chwila silniej czuł się porwany; znikaly dzielące go od niej przeszkody, serce biło coraz gwałtowniej... oczy mówiły otwarcie.

- My! tak się doprawdy mówić nie godzi, chyba przez szyderstwo, odpowiedział smutno. Moja i pani młodość są to dwa tak odmienne światy! Jam z sierotwa i pracy wyszedł i jeszcze drze bym nie wrócił do osamotnienia dawnego, do pustyni mego dzieciństwa; pani... rozkwitłaś sobie swobodnie, przytulona do serca matki! Nie dziw że z niego zaczerpnęłaś odwagi, a mnie zkąd ją wziąć?

— Zkąd? szepnęła Lizia przybliżając się trochę i wlepiając w niego ciemne błyszczące oczki swoje — porównałaś mnie panu do roślinki, ja skończę płacąc mu porównaniem także za jego poetyczny komplement. Widziałam rośliny co ledwie nóżką dotykają ziemi, co się chwieja w powietrzu jak powój, a tak zielono rosną, tak niebiesko kwitną!!

— A! pani! mimowolnie rzekł Strumisz, wspomniałaś powój na moje szczęście. Bo powój musi się choćby o suchą gałąź obwinać, sam sobie nie podoła.

— Jakto? więc na świecie pan nie spodziewasz się nawet znaleźć suchej gałązki dla siebie? — Zapytanie było tak żywe a odpowiedź tak trudna!

— Ja się nigdy i niczego spodziewać nie umiem, rzekł Jan z serca i z uczuciem.

— I nigdy też, przerwała Lizia prawie z gniewem, nic nie dosięgniesz. nic nie otrzymasz! Z łosem i prze-

znaczeniem potrzeba walczyć mężczyźnie, a pan stoisz z daleka i kapełusz tylko zdejmujesz przed nim.

Ostatnie wyrażenie trochę żartobliwe, przeznaczone było na pokrycie znaczenia całej rozmowy, bardzo wyraźnego... Strumisz nie wiedział co począć, chwilami widział przed sobą błyski szczęścia, to znowu stanął obawiając się by jak grom nie uderzyło w niego szyderstwo.

Lizia domówiwszy tych słów usiadła i zamilkła, ale w wyrazie jej twarzy, w oczach nie było nic złośliwego, raczej smutek, niecierpliwość, zniechęcenie. Czula, że jej nie wierzył jeszcze, że się lękał.

— Spodziewam się, zaczęła po przestanku, że pan tu przynajmniej zabawisz z nami. Stanisław od niejakiemu czasu stał się tak nie do ukąszenia, nie do użycia, nie do rozmowy, że jego jeszcze bawić potrzeba. Mama smutna, ojciec na nas wszystkich nie wystarczy! Lubi bardzo pana Parcińskiego, choć sobie prosty człowiek, ale i ten częściej gospodaruje, jeździ i klóci się z ludźmi, niż nas rozrywa. Podawałam już myśl żebyśmy sobie sprawili rezydenta jakiego. Mówią, że na wsi był to sprzęt dawniej nieodbitie potrzebny, i nikt tego teraz lepiej nie pojmuje nademnie. Jaka to rzecz wygodna!!

— Ale pani! obrażony trochę, rzekł Jan, jabym się znowu na rezydenta nie przydał...

— Dla czego?

— Pierwszym przymiotem tej istoty, dziś razem z mamutami wygasłej i z tradycji tylko znanej, było podobno niesłychane posłuszeństwo i niewyczerpana powolność...

— A pan nie masz tych przymiotów?

— Żadnych sobie nie przyznaję, ale tych mniej niż innych.

— Chwała Bogu! odpowiedziała Lizia, bo też to przymioty, które nie są nazwaną tego warte... Ale różni bywali rezydenci...

— Na żadnego się nie przydał...

— Tak panu pilno wrócić do Warszawy?

— Pilno? nie... ale... Strumisz zuowu poczynął szaleć — ale...

— Ale — śmiało! podpowiedziała Lizia.

— Ale, ja tam gdzie mi dobrze, gdzie mi bardzo dobrze, boje się być długo: człowiek się psuje i rozpieszca, potem boleje...

— Zawsze tchórz! dodała Lizia, ruszając ramionami.

— Ale cóż na to poradzić?

— Co? prawdziwie nie wiem, choć szczerze chciałabym pana z tej choroby wyleczyć...

— Pani by to przyszło tak łatwo, odważył się cichuteczko wymówić Jan, który już jak pijany, słów na ustach utrzymać nie mógł... Spodziewał się gniewów, przeląkł, zadrżał, ale Lizia odpowiedziała tylko:

— Doprawdy? a głos jej drżał...

Rozmowa tak zaszła niespodziewanie daleko, że się znów Eliza obawiać poczęła i chciała ją uczynić nie nie znaczącą, ale pieszczotką, nie potrafiła się oprzeć sercu, a litościwa nie chciała go dręczyć. Tyle i tak wycierpiał.

Na to — *doprawdy?* rzucione pytaniem, Jan już odpowiedzieć nie potrafił — w tej chwili mierzył on przestrzeń którą ubiegł w krótkiej rozmowie i zdawało mu się że to sen... chciał się obudzić, lub być pewnym że to jawa.

— Gdyby to w dawnych czasach... po chwilce poczęła drżącym głosem Lizia, kiedy wierzone w talizmany i czary... poszukiwałyby dla pana jakiego kwiatka odwagi i listka nadziei... ale dziś?

— Dziś wszystko jest talizmanem! rzekł gorąco Strumisz.

— Jakto? choćby na przykład ten kwiatek cyklamu tak mile pachnący?.. To mówiąc zerwała go i podała z zapytaniem młodemu człowiekowi.

Strumisz o mało nie padł z podziwu i ze strachu, wziął różową wonną roślinkę drżącą ręką, ale nim potrafił usta otworzyć, Lizi już nie było... znikła.

W ten sposób urwana rozmowa zmieniała życie, odsłoniła świat nowy... długo stał wryty, nie mogąc się poruszyć, potrzebując jak po uderzeniu piorunu powrócić do życia... i głos pani Balowej obudził go dopiero.

— Co ci jest panie Janie? zapytała go łagodnie widząc stojącego, nieruchomego i bladego — widziałam jakżeście żywo rozmawiali z Lizią... i...

Nie pani, nie. Czuję tylko potrzebę powietrza, chce wyjść trochę i orzeźwić się.

— Chodźmy na ganek.

Wyszli. Jan dał się prowadzić gdzie chciano, tak był obojętny na wszystko. Ażby pojąć co się z nim działo. potrzeba po długim nie szczecić, po długiej beznadziei, nagle stanąć u szczytu, którego nawet nie śmiało dotknąć skrzydłem swoim marzeni. Wielkie szczęście robi wrażenie podobne do straszliwego osnu — oba zabić mogą. Jan chwycił się za głowę by nie oszaleć.

W tem głos Bala i śmiech Parcińskiego otrzeźwiać go poczęły; wyszedł na powiew powietrza, spojrzął po

świecie, przekonał się, że żył, że wszystko było jawą.

— Patrz, patrz! chwytając go pod rękę zaczął kupiec, na te dalekie lasy, na rzekę siną, polyskującą w światłach wieczornych, posłuchaj, powąchaj... i powiedz mi, gdzie to znajdziesz w mieście?

— O! mnie nie potrzeba przekonywać, rzekł Strumisz, bo nim zajechałem do Zakala, upilem się wioską i wiosną i czuję się być oczarowany.

— Otóż to człowiek! zakrzyknął pan Erazm. to człowiek z uczuciem! Wart jesteś żyć na wsi!

Parciński śmiał się otwarcie.

— Panie! rzekł, a myż... a ja!

— Waćpan, dodał gorąco, po swojemu potomek Masagetów, Waćpan masz brzydki nałóg szyderstwa i drugi brzydszy jeszcze tajenia się z tem co w tobie najlepszego! kochasz wieś, ale ukradkiem i nie przyznajesz się do tego, żeby być oryginalnym. albo przekorą.

— Wszystko to być może, wesolo odparł Tomasz, ale u mnie tak — wszystko albo nic! Jeśli ma być wieś rajem, niechże nim będzie całą gębą; nie chcę w niej ani dzwonków które pan wiesz jak drażnią, ani sporów z wieśniakami, ani głupich sąsiadów. ani nudnej jesieni.

— Małej rzeczy Waćpan chcesz. Adamowego rajn! a i tam było przecie coś co go zatrzymało — wać... może właśnie ze dzwonkami!! Cha! cha! Rad z docwipn rozśmiał się pan Bal serdecznie. pociągnął powietrza, uśmiechnął się.

— To mi życie! rzekł.

— A dyferencja? szepnął cicho Parciński.

— Dzieciństwo.

— A zaległości?

„Już zapłacone !

— A włościanie ?

— Będziemy ich wychowywali !

— A sąsiedzi ?

— Pogodzimy się z nimi !

— A oficjaliści ?

— Sprowadzimy innych !

Gdy ostatniego swego „a” miał domawiać Parciński, przed samym gankiem zjawil się charakterystyczny poleszucki wyrażnie posłaniec, w siwej siermiędze, postolach, z koszelkiem na plecach, w czerwonej czapeczce, z kijem pielgrzyma.

— A z kąd ? spytał tknięty pan Bał.

— Od Hubki, rzekł Parciński odbierając list i kręcąc głową, bodaj żebyśmy nie mieli zaraz do dodania w rejestrze zapytań. — A Hubka ?

— Przeczytaj, zmiłuj się, chmurniejąc zawołał pan Bał, czego on tam chce ?

— Oj ! list coś długi, papierów dużo, źle !

„Czy znowno o dyferencję, wszak rzecz skończona !

Pan Tomasz rzucił okiem.

— To co innego, rzekł powolnie i poważnie, idę przeczytać, to jakiś dawny interes.

To mówiąc i nie chcąc może zatruwać panu Bałowi tak wesoło poczętego wieczoru, usunął się do swojej izdebki.

ROZDZIAŁ VI.

Rozczarowanie — nowe straty.

Pan Bal stał oniemiały, zbladły, zamyślony przed stolikiem na którym widać było rozłożony list Hubki, Parciński nieco opodal ze spuszczoną głową i zafrasowaną twarzą, poglądał to na to pismo, to na gospodarza, ale widocznie zajęty czem innem i roztargniony.

Oba chwilę milczeli.

— Cóż pan na to? spytał z westchnieniem nareszcie kupiec.

— Jest to nic więcej jak skutek pańskiej powolności, odparł Tomasz, nie chciałeś pan procesu o dyferencję, widziano że łatwo na pannę wymódz co kto zamarzy, i oto nowa pretensja.

— Ale jakże może być żeby to było zatajone przy sprzedaży?

— Z tego co wiem o kupnie i sprzedaży najłatwiej to być mogło, pan nabywałeś z zupełnem zaufaniem, a sprzedawano mu bez sumienia.

— Ależ mówią że bank dowodzi iż długów nie ma.

— Jest to po części prawda, rzekł Parciński, ale tylko po części. Wiemy jak się robią po aktach kwerendy i wydają świadectwa. Bank w żadnym razie stracić nie może, jakikolwiek będzie stan majątku, cała rzecz że dług obcy pójdzie po bankowym.

— Ale na Boga, jakże się da utaić dług dwóchkroć sto tysięcy, z zaległemi od takich dawnych czasów procentami!!

— W istocie to dziwna, ale niemniej tak jest; proces był zarzucony, ubodzy Mylińscy milczeli i byliby się nie upomnieli nigdy, gdyby w panu Hubce nie znaleźli protektora.

Pan Erazm zalamał ręce, przechadzał się zachmurzony, ruszał ramionami, myślał i nie wiedział co począć.

— Nie cierpię procesu! rzekł po chwili.

— Stracisz więc pan majątek, bo to coś już zapłacił, coś przyjął długiem i co jeszcze dać wypadnie, dwa razy przejdzie wartość jego.

— Ale to być nie może! co tu począć? co tu począć? co obmyśleć? powtarzał niecierpliwy dziedzic Zakala. To musi być fałszywa pretensja, spisek na mnie. łapka jakaś... tego zataić Sulimowski nie mógł! Nie wierzę w taką niepoczciwość! byłby ostatnim łajdakiem.

— Cha! cha! sucho się rozśmiał Parciński, widąc żeś pan w życiu z pocziwymi tylko ludźmi miał do czynienia, u nas *prawie* jednego nie ma majątku, którego by nie sprzedano z zatajonym *wilkiem*. Tak się nazywa technicznie tego rodzaju interes. Nie mamy co myśleć dłużej, ja natychmiast jadę do miasta powiatowego, sam kwerendę zrobię w aktach, uaradzę się z prawnikami, a dopiero coś postanowić będzie można. Na

ślepo działać niepodobna. Wypadłoby posłać i do Sulimowskiego.

— Ten slysze na smiertelnej poscieli, odparł kupiec: nie godzi się zatruwać mu ostatniej godziny, może chwili pojednania z Bogiem. Jedź pan i powracaj co najrychlej.

Stanisław był przytomny tej rozmowie; wspomnienie o Sulimowskim uderzyło go, myśl szybka przeleciała przez głowę.

— Zapewnie, rzekł, że posyłać kogoś do hrabiego byłoby nie w porę, ale z wieści sąsiedzkich trudno coś wiedzieć pewnego o jego stanie. Ja mógłbym pojechać sam, pod pozorem dowiedzenia się o jego zdrowie, a jeślibym uważał że się go zapytać można o interes, z wszelką delikatnością wspomnialbym o nim. Jeśli Sulimowski jest tak bardzo źle, przekouam się tylko i przyjadę napowrót.

— Jak ci się zdaje panie Tomaszu? spytał kupiec wahając się.

— Mnie się zdaje, że toby było nie źle, rzekł plenipotent, hrabia najlepiej objaśnić może, a pan Stanisław jeden potrafi w takich okolicznościach postąpić sobie jak wypada.

— Dziękuję ci za tę myśl, podstępując i ściskając syna, odezwał się pan Bał; wiem że nie lubisz Sulimowskich, wdzięczem ci jestem za tę ofiarę dla mnie.

Podziękowanie ukłuło Stanisława, czuł że na nic nie zasługiwał, zarumienił się i nic nie odpowiedział, ale z wielkiej radości począł się tak spieszyć z wyjazdem, że matka smutnie się aż nśmiechuła.

Biedna matka! jej oczy widziały wszystko, serce czuło tak wiele, a tak mało co uczynić mogła! Wczo-

rajsza rozmowa Lizi ze Strumiszem, od której Jan o mało nie oszalał i jeszcze chodził upojony, wzruszenie Stanisława, troski powszednie i straty niespodziane, obijały się o jej serce w ciszy i zdaleka powierzające Bogu losy całej rodziny.

Od Parcińskiego wiedziała już wcześniej o nowej sprawie grożącej Zakalowi, ale przed mężem, któremu trudno było się jej zwierzyć, nie dała poznać, że cierpiała już jak on, a może więcej od niego.

Tać się dłużej nie było podobna, a przyznać tak trudno panu Erazmowi. Ten ostatni cię dobił go, trzymał się przeciwko oczowistości, walczył z niepodobieństwem, kłamał sam sobie, ale nareszcie przyszła chwila w której nie mógł już zaprzeczyć, że złote jabłko było jabłkiem męczeństwa, jabłkiem wygnania z raju, zawodem i ogromną tylko stratą! Jak owe owoce z nad jeziora martwego co się w popiół rozsypują gdy je do ust przybliżasz, złote jabłko hrabiów rozpadało się w proch. Nadzieje, rachuby, plany, marzenia żywota wielkiego, swobody wiejskiej... wszystko to nikło... Gdy raz blona, zasłaniająca oczy biednemu pocziwemu starcowi spadła z nich, zobaczył jasno jak dalece zawiedzionym został, jak niegodnie oszukanym!

Najcięższa podobno do przebycia jest strata ostatniego w życiu złudzenia, w młodości siejem je jak młokos złotych, pewni że skarb się nasz nie wyczerpie; ale oprzeć się na wątlej, na jedynej nadziei, zbudować na niej ostatnią lepiankę i nyrzeć ją rozwaloną, o! to nad wyraz boleśnie! To też stary nasz cierpiał srogo i litość brała nań patrzeć. A że nikomu winy nie mógł przypisać tylko sobie i swej łatwowierności, gryzł się nią w ciszy i trapił. Niepocziwość ludzi co z niego korzy-

stali, nie mogła mu służyć za wymówkę; nie powinien się był dać tak haniebnie oszukać, narazić losu dzieci, przyszłości, spokoju! Żal i upokorzenie szarpały jego sercem, uciekał od ludzi i łzy mu wytryskały na oczy.

— Stracone! powtarzał w duchu, wszystko stracone! wszyscy mieli słuszość. ja jeden byłem w błędzie do końca! A! ciężko to pomyśleć, żeby świat był jaskinią łotrów, a wszyscy co się podszywają pocziwością trudnili rozbojem! Ale stało się! potrzeba uczciwie oznajmić o tem Ludwice, żeby jej kto z boku usłużny nie nastraszył.

Chwielejąc się wszedł pan Erazm do salonu, zastał żonę, która troskliwie zmierzyła go okiem, ale nie śmiał ust otworzyć. Ile razy zebrał się na wyrzeczenie słowa, wstyd i boleść zamykały mu usta.

— Ludwisiu, rzekł nareszcie, pokazuje się żeś ty miała słuszość.

— W czym kochany Erazmie?

— Trochę, trochę miałaś słuszości co się tycze Zakala.

— Być może. to chyba przeczuciem. Ale zkadże ci to wyznanie? jeszcześ wczoraj tak był z niego szczęśliwy!

— Wczorajszy ten list mnie dobił.

— Cóż to było? zimno i umyślnie obojętną starając się pokazać, odezwiała się żona.

— A! nowa pretensja! proces! i jeżeli się to okaże takim jakim nam przedstawiają, to podobno....

Nie śmiał dokończyć pan Erazm. cierpienie jego było nadto widoczne, żeby żona nie starała się na nie szukać lekarstwa. Uśmiechnęła się tylko.

— Mój Erazmie kochany, odezwiała się bez widocznego wzruszenia, póki zapobiedz było można stratom, usiło-

walam cię od nich ustrzedz, dziś gdy się spełniły, pozwól najprzód powiedzieć sobie, że dzieciństwem byłoby niemi się trapić.

Erazm, który się obawiał wymówek, może trochę przypomnień dawnego uporu, odetchnął słysząc te błogosławione wyrazy i pobiegł ucałować ręce żony.

— Jakto moje serce! zawołał przejęty wdzięcznością, ty mi nie będziesz tego wymawiała?

— Kiedyżem ci co wymawiała? spytała z wymówką kobieta. Stracim część majątku, no! to ją może Bóg da znowu zapracować dla dzieci, zresztą dla nich to co pozostanie dostatecznem będzie. Znieśmy to wesolo, i jak przystoi na chrześcijan... na sumieniuśmy spokojni.

Łzy dobyły się z oczów kupca, który poskoczył z radości, odzyskując w chwili całą swą żywość i gorączkę uczucia.

— O to, to lubię, o to mi żona! oto kobieta! serce, Ludwisiu. ołtarze ci stawiać! Ha! ogromny mi też ciężar spadł z serca, niech ci Bóg płaci! Stracimy wprawdzie grubo, ale Bóg łaskaw... kto wie, może jeszcze interes się da skończyć lepiej niż się spodziewam.

— Ale powrócimy do Warszawy? z uśmiechem spytała korzystając z usposobienia pani Bałowa.

Pan Erazm skrzywił się.

— Jakże chcesz serce! okrutny wstyd!

— Co za wstyd?

— O! już ci pozwól, wzięli mnie starego wróbla na plewę!

— Kto o tem będzie wiedział?

— Wszyscy! ręczę ci.

— Ale przynajmniej na zimę, Erazmie.

— A! na zimę nie mówię, to dobry ton.

Żona westchnęła po cichu, chciała daleko więcej mówić, ale jak przed chwilą mąż, ona teraz nie wiedziała od czego zacząć, a musiała korzystać z wypogodzonego czoła, które wkrótce lada co zachmurzyć mogło.

— Czy Staś pojechał? spytała.

— Przed pół godziną, alboż się z tobą nie pożegnał?

— I owszem, pocciwy chłopiec! dopiero tu na wsi przekonałam się jak do mnie przywiązany.

— A! a! dodał po chwili, i w tem mi się nie udało. Śliczny los gotywałem mu w myśli, chciałem go uczynić panem jak byli jego przodkowie, od razu trafiła się jedyną przeciwną okoliczność, bo hrabia oświadczył się niejako. że dalby był córkę za niego. Kolligacja z pierwszymi domami. pozycja socjalna wysoka. Niestety ten hrabia podobno nie ciekawe czlecze. Nie wiem czy już drugą taką partję znajdzie dla niego.

— O! najłatwiej. Ja nawet już wiem jedną.

— Ty?

— Ja!

— No proszę! a i ty o tem myślałaś? patrzajcie! powiedz-że mi kto to przecie? znasz tę pannę?

— Nie.

— To zagadka; któż to taki?

— Bliska krewna Sulimowskich.

— Bogata? cicho szepnął pan Bał.

— Zupełnie uboga.

— No! ale parentela? dodał kupiec.

Ludwika rozmiała się. A! mój ty drogi marzy-
cielu, zawsze ze swoim.

Bał spuścił głowę jak winowajca. — No, no! nie śmieć się ze mnie.

— Je t i parentela. jak ty nazywasz. odpowiedziała żona. kiedy bliska krewna Sulimowskich, tak bliska. że ją ten hrabia majątku pozbawił procesem z jej dziadem.

Pan Erazm w tej chwili przypominał sobie opowiadanie w drodze, historja podstolego, wmieszanie się Stanisława i uderzył się po czole.

— Jestem w domu! rzekl. słyszałem o tem. ale to coś bardzo uboiego.

— Za to trudno zaniejszej kobiety, zawolala żona.

— A z kądże o tem wiesz?

— Najlepiej od Krombachów, w których domu jakiś czas przebywała.

— Ale z kądże ci ten projekt na przedce?

— Pozwolisz mi powiedzieć otwarcie?

— No! śmiało!

— Stanisław ją kocha.

— Jakim sposobem? podchwycił pan Bal podskakując po swojem, bez mojej wiadomości, bez pozwolenia! kiedy? co? ktoredy? gdzież ją widział? jak się to stało?

Raz rozpoczynwszy. niepodobna było tać dłużej, wszystko należało powiedzieć, i pani Balowa całą powieść poznania Konstancji i jej losów powtórzyć musiała.

Kupiec słuchał jej z natezoną uwagą, ale bez oznak zniecierpliwienia lub gniewu. Gdy skończyła, przeszedł sie parę razy w milczeniu po saloniku.

— Ma szczęście chłopiec, rzekl. że to pięknie urodzona panienka, wybaczam mu to, jestem przekonany, że pocziwa krew do pańskiego dziecka go ciągnęła. Wielka jest siła krwi! dodał serjo: ale z drugiej strony

wykroczył, rzekł z żywością. Pani wiesz jaka jest władza ojca i jak ją dawna szlachta szanowała. Jak to może być, żeby się syn kochał bez pozwolenia i myślał o paninie bez rodzicielskiego konsensu, cichaczem?

— Ależ proszę cie Erazmie, wszak rzeczy nie zaszły daleko, widzieli się, poznali i Staś nie śmiał jeszcze pomyśleć nawet!

— A! jeśli nie śmiał pomyśleć, chwytając za słowo z radością przerwał kupiec, to co innego! to co innego! przebaczam i zobaczymy. Hm! nie byłbym od tego, gdyby tylko panna mi się podobała, koligacja piękna! Dziad był podstolim, krowni wszystkich hrabiów w Hrubieszowszczyźnie i ziemi chełmskiej! nazwisko poważne!

Na ten raz tak wiele była zrobiła pani Bałowa, że się już więcej mówić nie odważyła, szczęśliwa z powodzenia, zamilkła. Bał chodził i dumał, a choć się przed sobą nie przyznawał do tego, a tem mniej przed żoną, wiadomość o tej kuzynce hrabiów bardzo go polechtała i poprawiła mu humor.

Wtem wszedł Strumisz.

— No panie Janie, natarczywo po swojemu zawołał knpiec przyskakując do niego, teraz na twojej głowie wszystko! Ratuj mnie kochanku.

Jan, który nic jeszcze nie wiedział, bo tak był sobą zajęty że się ani z Parcińskim, ani ze Stanisławem nie widział przed wyjazdem ich, stanął zdziwiony. Uśmiech tylko igrający na już wypogodzonej twarzy kupca cokolwiek go uspokajał, że ratunek żądany nie musiał być trudny.

— Co pan rozkażesz? spytał.

— Dasz mi pieniądze! dużo a dużo pieniędzy!

— Wszystko co jest w tej chwili... ale na cóż?

— A! ba! ty nic nie wiesz?

— Nic.

— Spada na mnie nowy proces o dwakroć sto tysięcy, które może z procentami nawet będę musiał spłacić z Zakala.

— Możeż to być? nie dowierzając i oglądając się po wszystkich, zapytał Strumisz. pan o tem mówisz tak spokojnie?

— Chcę sz-żeż bym sobie angielską modą w łeb strzelił? Śmiejąc się rzekł kupiec. Ja i moja żona jużśmy to. Bie wyperswałowali, że kilkakroć sto tysięcy djabli wezma. Teraz panie Janie cała sztuka w tem, żebyśmy na pocziwym handelku odrobili co tu lichy weźmie.

Jan się załamał.

— Nie jest to tak łatwo, rzekł powoli, ale z czasem. Dzięki Bogu że już pan przypuszczasz dalsze prowadzenie handlu.

— Ale ba! kiedy muszę! zawołał Bał — nie radbym, coś gdy inaczej być nie może. — Wioska będzie drogo jak widze kupioną zabawką, a handel da chleba kawalek, jedno drugiemu nie przeszkadza... No! poratujesz panie Janie?

— Możeż być żebyś pan tyle utracił?

— Najpodobniej! wzięli się do mnie ostro tutejsi prawnicy!...

— W takim razie ten od kogoś pan kupił, odpowiada.

— Na straszonym sądzie! przerwał Bał, przed którym lada chwila stanie. A jak ludzie mówią, z majątku pokrytego żony posagiem i umiejętnie przeszywanemi

kawalkami spodniczki — nie starczy na długi nawet! Cóż dopiero na pretensje! Jeśliby nas przycisnęło, kochany panie Janie, powiedz zkąd weźmiemy pieniędzy?

— Zkąd? tego nie wiem i poddać w tej chwili nie mogę. Moją radą byłoby, obrachować się dobrze, i Zakale po tylu stratach na łup wierzycielom oddać.

Pan Bal cofnął się, rzucił i krzyknął:

— Co Waćpan mi smiesz radzić! z tego nigdy nie będzie! Ja, porzucić Zakale? Niech ono sobie będzie złe, szkaradne, niech stracę, ale tego wstydu sobie zrobić nie pozwolę! Niech choć umrę na wsi!

— Lepiej niech pan żyje, kiedy to dla niego tak konieczne, spokojnie odpowiedział Strumisz. Co się tycze reszty majątności państwa jawne jest, że bez sprzedaży w mieście takiego kapitału mieć nie możemy!

— O! na Boga! nie sprzedawajmy nic! przerwała pani Balowa, broniąc z kolei swojego.

— Kapitału na sam handel nam braknie, odpowiedział Strumisz — będziemy i tak mieli do wypłaty weksłów na sto tysięcy pewnie, a do czasu w którym one będą wypłacane, nie ściągniemy nad połowę potrzebnej sumy.

— Trzeba jednak coś poradzić, rzekł Bal.

— Albo wsi się wyrzec, albo jednego z domów w mieście.

— Za nic!

— Za nic! zawolali oboje państwo Balowie.

— W takim razie nie widzę sposobu wyjścia z tej trudności. Ale zdaje mi się, że to przedwczesny kłopot, bo nie pojmuję jak może kto być zmuszony płacić, czego nie winien.

— W istocie, po namysle rzekł Bał, możnaby nie spieszyć się z planami, ale to mój stary zwyczaj, że na wszelki wypadek chcę być w gotowości.... Zresztą poczekajmy na Parcińskiego.

Nazajutrz dał znać pan Tomasz, że kilka dni zabawić musi w miasteczku i że mn niepodobna powrócić tak rychło jak obiecał i jak żądał pan Bał. Zniecierpliwiło to trochę kupca, który zwłok nie lubił, ale musiał czekać.

Tymczasem pobyt Strumisza z powodu samego interesu Mylińskich, o którym coś pewniejszego chciał wiedzieć kupiec nimby go wyprawił — opóźniał się coraz, a Jan, jak się łatwo domyśleć, nie spieszył do Warszawy... Nazajutrz po owej wieczornej rozmowie, Lizia wprawdzie była smutna i chłodna i trochę szyderska, ale to tak było naturalnem. I wieczorem znowu zeszli się przy matce u tego samego okna, jak gdyby kilkadziesiąt godzin nie dzielily ich od tego dnia dla obojga pamiętnego, i poczęła się przerwana rozmowa, już śmielsza ze strony Jana, bojaźliwsza w ustach Lizi, ale będąca dalszym ciągiem tej wiecznej powieści kochanków, którą już tyle pokoleń głuchej opowiadało ziemi. — Gniwali się, godzili, smutnieli, rozweselali, mówili o wszystkim a nie mówili tylko o sobie w istocie. Matka niekiedy przerywała im, mieszając się do cichych rozpraw, umyślnie może nie pozwalając jednym pędem zejść nazbyt daleko. Zresztą Strumisz pomimo osmielenia, pomimo szczęścia które nań tak niespodzianie spadło, pełen był umiarkowania, obawiał się wygnania z rajn i stapał po nim z taką ostrożnością. Trochę weselości, dowcipu, drobina szyderstwa wróciły trzpiotowatej dziewczynie, ale jak teraz jej

szyderstwo było inne! jak przez nie dobywało się uczucie! jak była uroczą z tym żarciem któremu towarzyszył błysk oczek czarnych, błysk białych ząbków! Rzekłbyś figlarna Rusalka zwodnica, co się wychyliła z wody, wdziała sukienkę i zaplotła włosy, żeby pod tem przebraniem łatwiej ludzi mitrężyć.

ROZDZIAŁ VII.

Co się działo w Sulimowie i jaki tam był szynkarz.

Szybko pędził Stanisław ku Sulimowu, a nigdy jednak droga dłuższą mu się nie wydała, choć nazajutrz powiedzieć by nie potrafił, któredy jechał i co go znudziło. Cały w sobie i w nadziei widzenia Konstancji, wyglądał rychło mu się okazać odrapane mury rezydencji hrabiowskiej, dopytywał czy jeszcze daleko. a nielitościwi wieśniacy po swojemu mierząc poleski pustynie, niecierpliwi go swemi milami, których czasem dwie w jednej pomieścić się mogło wygodnie. Szczęściem jakkolwiek mile poleskie i wołyńskie po polskich wydają się dosyć długie, nie to jeszcze co ku Podolowi, gdzie często mil parę cały dzień klusem jechać można. Pod wieczór nareszcie w brzasku dziwnie jaskrawo zachodzącego słońca, na siwych i pomarańczowych pasach nieba, poczęły się czarno piętrzyć mury kościoła, drzewa i gmachy, a woźnica powiedział nareszcie: To Sulimów!

Stanisław nie potrzebował objaśnienia, cały teraz był w myśli jak tu przyjechać, jak się przedstawić, co

zrobić z sobą w domu nieznanym. z tak ciężkim interesem i w taką jeszcze chwilę!

W tem wiatr przyniósł mu dźwięki rozkołysanych dzwonów w kościółku i cerkwi, w które hałaśnie bić poczęto.

— Co to jest? święto jutro czy dziś? spytał Stanisław.

— Nie paneczku, odparł woźnica, to po umarłym dzwonią; ale coś bardzo hałakają, musi czy nie sam graf umarł tylko!

— Pospieszaj! rzekł Stanisław niespokojny, konie zacięto i po piasku zbliżać się poczęli ku wiosce. Na samym wjeździe nad drogą stały naprzeciw siebie kościoły i cerkiew, przy dzwonicach widać było na cmentarzach kupkę ludzi żywo z sobą rozmawiających; inni powychodzili w ulicę, kobiety z założonemi rękoma patrzyły z progów domowstwa, słowem coś niezwyčajnego z twarzy i ruchów czytać było można.

Ciekawy parobczak który Stanisława powoził, zatrzymał się z własnego domysłu naprzeciw dzwonnicy.

— Dobry wieczór ojcze, rzekł do siwego starca, który się pod murem ręce w kieszenie świty włożywszy przechadzał w ogromnej czapce barankowej, z daleka oznajmującej przynajmniej starostę. A co to u was? czy nie umarł kto że tak dzwony tańczą?

— A juściż, odparł nchylając nieco czapki stary, panaśmy stracili — i westchnął. Dobry pan był! (po śmierci wszyscy panowie i mężowie są najlepsi).

— Dawnoż to? podchwycił Stanisław.

— I godziny nie ma, jak skończył!

— Ha! jedź do karczmy! rzekł podróżny.

— Nie do dworu? spytał chłopek.

— Gdzież tam! do karczmy mówie!

Przeogromna owa gospoda zdobiąca tak wspaniało Sulimów, po bliższem rozpatrzeniu okazała się pustką, czemś ogromem swoim i opuszczeniem przypominającego perskie karawanseraje. W sieniach przeznaczonych niegdy na powozy i konie, był jeden tylko żłobek na cztery konie może, a tyle pozagradzanych chlewków różnych i ogromnych dziur w dachu, że zaciszny kątek dla powozu ledwie się wynalazł. Wewnątrz z izb wielu ani jedna nie miała okna, a w najlepszej trzeba było nocować z kartoflami, burakami i spiżarnią gospodarza. Smutne myśli ogarniały na widok tego pokoiku, w którym i sufit i gzymsy były ozdobne dawniej i komin kamienny i posadzka dębowa! Ale długość to u nas trwa porządek? rzadko przez całe jedno życie, nigdy przez dwa pokolenia!!

Kazawszy zawołać do siebie gospodarza, który już z powodu śmierci pana był pijany, bo się z dworskiemi smutkiem i pociechą dzielił, Stanisław niespokojny namyślił się co począć z sobą. O interesie ani mowy nie było, chciał tylko dowiedzieć się o Konstancji, a jeśliby ją tu znalazł jak przeczuwał, choć na chwilę z nią zobaczyć.

Szynkarz pod dobrą datą, niezmiernie ciekawy gościa bo mu się ten rzadko trafiał dla spustoszonej karczmy, przybiegł skwapliwie, usiłując zbadać z twarzy, ubioru, postawy z kim miał do czynienia, z obywatelem czy z urzędnikiem, który może zjechał na jakie badanie. W niepewności postanowił język trzymać za zębami, wyciągnąć, ale się nie dać spenetrować. Był to człowieczek mały. zgarbiony. niegdyś szewc, tkacz, mularz, a przytem muzykant. do tego pijaczyna: ale prócz bu-

telki z którą się umiał obejść, w reszcie rzemiosł nie celował, choć się ze swej biegłości bardzo wychwalał i tą chwalbą wysokie nawet u ludu zjednał wyobrażenie o talentach swoich.

Wszedł oglądając się, odchrząkując i na progu zaraz stosowną wdziawszy żalobę na fizjognomję, która jej nosić nie była przywykła i wydawała się jak pulcinello gdy obity płacze a z podelba drwi trochę.

— Proszę cię panie gospodarzu...

— Obywatel, bo grzeczny, rzekł w dnie Jacek.

— Przed chwilą słysze pan hrabia zmarł?

— Ach! zmarł! ocierając oczy suche odparł gospodarz, tak! biedne panisko! i my bez niego...

— Czy był kto z familji dalszej?

Po cóż się dopytuje? to coś jest? rzekł Jacek.

— Albo ja to proszę pana wiem co się we dworze dzieje? cały dzień człowiek musi tej gawiedzi pilnować, utrapienie.

— Juściż musicie wiedzieć czy kto przyjeżdżał.

— Dużo osób przybywało czasu choroby, ale ja nie mogę wiedzieć kto taki. Ja proszę pana swojego pilnuję! Patrzę z czego chleb jem!

— Jeśli nie wiecie to moglibyście się we dworze dowiedzieć o kogo, gdybym potrzebował.

Gospodarz się zastanowił, wydało mu się to podejrzanem.

— Hm! kiedy bo widzi pan, czasu nie mam.

— Jaby ci dobrze za tę grzeczność starał się odwdziżyć.

Przemowa była przekonująca, Jacek się poskrobał, ale że to był człek przemysłowy i zaraz wszystko pod kredkę biorący, spytał bez żadnej ceremonji:

— Wieleż by pan dał?

— Dałbym pięć złotych, czy wielebyś zresztą zażądał.

— A gdzież pięć złotych! ja więcej przez ten czas na szynku utracę, widzi pan moja Izabelka chora, ledwie nogami włóczy, a Karolinka głupia, nie da sobie rady... gdyby pan dał choć złotych dziesięć... I to, widzi pan, teraz do dworu iść kiedy nieboszczyk jeszcze nie ostygł, rwetes, zawerenja, nie łatwo się będzie dopytać!

Postrzegł Stanisław z kim miał do czynienia, smutny uśmiech przebiegł mu po ustach.

— Dam ci co chcesz, ale mi się spraw dobrze i prędko.

— E! to bo pan jakiś, mruknął sobie w duchu Jacek, szkoda że nie poprosilem złotych dwadzieścia, ale ja to sobie na rachunku odbiorę.

— A o kogoż to Jaśnie panu (dodał zaraz to Jaśnie dla dziesięciu złotych) dowiedzieć się potrzeba?

— O pannę Konstancją... która miała przyjechać tu z Warszawy...

Szynkarz mrugnął i uśmiechnął się.

— To ja panie wiem! toż ja pauię ją z maleńkości znam, jeszczem panie u pana podstolego nieboszczyka jej dziada, co słyszę zmarło mu się w Warszawie, służył... Bo ja, proszę Jaśnie pana, nie zawsze ten szelmowski szynkarski chleb jadłem, o nie! Było koło człowieka lepiej, ale jak żona a dzieci obsiadły...

Staś pokiwał głową widząc że się na długie historie zabiera.

— Idź-że a prędzej mój kochany, nikomu nie mów, kto cię posyłał i po co, dowiedz się i wracaj.

Jacek doskonale wiedział o przybyciu podstolego wnuczki, ale nie chcąc stracić dziesięciu złotych obie-

canych, a myśląc że jeszcze więcej utarguje, poszedł po czapkę i przed oknami przemknął się widocznie do dworu; potem stanął koło płotu, ziewnął i począł myśleć. Biedak! układał już jutrzejszy rachunek dla podróżnego...

Przeszła dobra godzina, Stanisław chodził, wyglądał, zapytywał, szynkarza nie było, nareszcie dobrze się ochłodziwszy Jacek powrócił tak wybornie udając zadychanego, że mógł za to jedno nazwać się aktorem i pochwalić więcej jednym rzemiosłem. Wpadł do izby gościnnej, ledwie mogąc mówić.

— A co? spytał podbiegając podróżny, bawiłeś tak długo!

— A! co to ja panie miałem kłopotu i nieszczęścia, to tego żadne ludzkie usta nie wypowiedzą!! Ledwie nie ledwie dobiłem się do dworu... nikt gadać nie chciał, musiałem dać pół rubla lokajowi...

— Ale cóż się dowiedział?

— Ot zaraz opowiem, niech się wydyszę tylko... Rozgardjasz okropny! płacz, lament, okropności...

— Jest-że ta pani?

— A jest, od tygodnia, rzekł nareszcie szynkarz, jest!

Stanisław nie słuchał już więcej; wstrząsnął się tak, że obojętny nawet Jacek wiele się z tego wzruszenia domyślił i stanął wryty zastanawiając jakby się mógł widzieć z tą, której bytność przeczuł tak jasno.

Szynkarz stał i patrzył tylko.

— Każ mi podać świecę i znosić moje rzeczy, rzekł Stanisław.

— W mig Jaśnie panie, a ten półrubelek?

— Powrócę ci go...

— Całuje stopki.

— O! dobry pan, rzekł wychodząc Jacek, takich mi dawajcie... no! mogę sobie dziś pozwolić kieliszek do-
bry, zapracowawszy w pocie czoła.

Po dłuższej rozwadze wypadło Stanisławowi wstrzy-
mać się nieco z odezwą do Konstancji i bytnością we
dworze, musiał poszanować boleść, która każdą śmierć
otacza. Jest coś w zgonie najobojetniejszego nam czło-
wieka, że każdy ściska za serce i przeraża. To prze-
jęcie straszliwe z pielgrzymki krótkiej do wieknistego
spoczynku jaki sobie człowiekiem zasłużył, to nagłe
ustanie życia które zdawało się tak silnem jakby być
miało wiecznem, wyciska westchnienie, ostudza namiętność.

Karczma stała nieopodal od pałacu, a przez okno
izdebki widać było dziedziniec po za bramą, światła
biegające w gmachu na wpół opustoszałym, krzątają-
cych się ludzi i poploch jaki śmierć budzi. Stanisław
nie mogąc wytrwać w swojej izdebce wyszedł na sze-
roką drogę, nad którą stała owa senjoralna brama, rzu-
cając okiem ku pałacowi. Wieczór wiosenny ze swą
ciszą, którą tylko tysiąca żab przerywały głosy, osła-
niał ziemię, wonną po deszczu dniowym, w dali brzmiały
jeszcze dzwony kościółka a w koło gmachu kupki ludzi
się snuły rozmawiające po cichu. Niekiedy przebiegał
żywszym krokiem posłaniec ku plebanji lub od kościoła.
Jeden niósł wielkie lichtarze cynowe, drugi krucyfiks
drewniany, czarny całun i naczynie z wodą święconą.

W samych drzwiach pałacyku strzeptywano dywany.
których przeznaczenia łatwo się było domyśleć. Stani-
sław poglądał na te przybory śmierci i na wiosnę otwie-
rającą życie.

— O mizerne, rzekł życie ludzkie, gdyby się odro-
dzić nie miało większe, czystsze i nieśmiertelne. War-

tożby żyć dla tej chwili, która tak długą się wydaje gdy ją przebolewamy, a tak małą gdyśmy u kresu! Po cóż się zdało temu człowiekowi tyle zabiegów, trudu, pracy, bezwstydu, ofiary, żeby niemi okupił sobie może zgryzotę na śmiertelnem łożu?

Napatrzywszy się przygotowań pogrzebowych, smutny, z głową ciężką wrócił Staś do swojej izdebki późno w noc i oka do dnia nie zmrużył.

Nazajutrz rano nie mając co robić a nie mogąc jeszcze odczekać się do tej dla której przybył, Stanisław poszedł do kościółka. Wcześniej go zastał otwartym ale pustym.

Organista i dwóch czy trzech pomocników zajmowali się właśnie dosyć obojętnie ustawianiem katafalku, gdyż tegoż dnia ciało wieczorem do kościółka przeprowadzone być miało. Spojrzeli oni na przybysza nie bardzo ciekawie, jednak nie bez wyraźnej niechęci, bo im trochę przeszkadzał, i dalej swoje robili. Później nieco nadszedł ksiądz, ktoś ze dworu. nareszcie pan Teofil Zmora.

Na widok Stanisława cofnął się nieco zdziwiony sąsiad, nie wiedział czy go witać czy nie widzieć, ale że się zawsze trochę obawiał milczącego Stasia, w którego szlachetnej twarzy wyraźnie mówiło męztwo, postanowił go zobaczyć.

Z największą więc ale zimną grzecznością ukłonił mu się.

— Cóż pan tu robi w tak smutnej dla nas chwili?

— Jestem tu prawie przypadkiem, rzekł wychodząc z nim z kościółka Stanisław z równą grzecznością i tym samym chłodem, zmuszony byłem się zatrzymać.

— Okropna rzecz! przerwał pan Teofil, hrabia nasz wczoraj skończył.

— Słyszałem o tem...

— Skończył z heroizmem chrześcijanina, który chce swobodny przejść na inny świat. Co za śmierć!!

To mówiąc i widocznie usiłując się co najprędzej oswobodzić, Zmora uklonił się, dał jakiś rozkaz i szybko odszedł do dworu. Staś czytając nagrobki, przechadzając się po cmentarzu, pozostał czekając mszy, która wyjść miała około dziesiątej. Dzwonek dał się słyszeć nareszcie i od dworu pokazało się kilka osób idących ku kościołowi, Stanisław poznał Konstancję, której towarzyszył Zmora i guwernantka. Serce jego zabiło, ale pozostał u bramy cmentarza.

Konstancja szła powoli ze spuszczoną głową, zamyślona i milcząca, o kilka kroków od muru podniosła oczy, jakby instynktem wprost je rzuciła na Stanisława. Ale na pięknej jej twarzy nie widać było nic nadprzełotny rumieniec; chociaż jej nikt nie oznajmił przybycia jego, choć nie wiedziała o nim, była pewna że go zobaczy, że serce jego odgadnie wszystko.

Poważnie zbliżyła się ku niemu, i w chwili gdy Zmora osłupiały stanął z podziwu, podała mu rękę, którą zarumieniony młody człowiek z uczuciem uściskał.

— Państwo się znają? wykrzyknął pan Teofil z niejakim gniewem i trochę szyderstwa.

— Od bardzo dawna i bardzo dobrze się znamy, odpowiedziała Konstancja. — Prawda panie Stanisławie, że to niespodziane spotkanie, na cmentarzu i u katafalku? A! wszakżeśmy się tak podobno i pierwszy raz w życiu widzieli.

Stanisław nie mógł nic odpowiedzieć.

— Chodźmy do kościoła, dodała Konstancja, a po mszy wszak pan nas odprowadzisz do domu?

— Nie jestem znajomy, a w takiej chwili...

— Jakto nie jesteś pan znajomy, wszak byli Sulimowscy w Zakalu? Zresztą będziesz pan tylko u mnie, nie potrzebujesz się widzieć z nikim...

Pan Teofil nie mógł ukryć jaką mu przykreść sprawiły te zaprosiny, ale zatarł to głośnie wyrzeczoną rozkazem; weszli do kościoła.

Msza żałobna przy niedokończonym katafalku musiała wywołać łzy z oczów Konstancji, której tyle się rzeczy przypominało w Sulimowie; nie przedko otarłszy je wyszła powolnie. Zmora, który nie rad był spotykać się ze Stanisławem, przyzostał pod pozorem jakichś rozporządzeń, a Konstancja z nim i milczącą gnwer-nantką skierowała się ku domowi.

Rozmowa aż do bramy była zupełnie obojętna, obcy świadek nie dozwalał im nawet się rozpytać i zwierzyć, można sobie wystawić niecierpliwość Stasia, któremu było tak pilno dowiadywać się, pytać i skarżyć. Szezę-ściem niepotrzebny towarzysz, znudzony obojętną rozmową, odszedł do swoich uczennic, a Staś pozostał w dziedzińcu z Konstancją i przechadzając się ulicą nad trawnikiem wiodącą, poczał dopiero mówić jak pragne-ły z serca do serca.

— Na Boga! panno Konstancjo, proszę mi najprzód wytłumaczyć to przybycie tutaj, bo go nie rozumiem wcale.

— I jam się nigdy nie spodziewała żeby tu noga moja w życiu postać miała. Wiesz pan jak smutne były zajścia między dziadem moim a hrabią, wiesz że mu życie skróciły, żem wołała być sługą cudzą niż pro-sić najbliższych o przytyłek. Nagle odbieram list od hrabiego, od jego żony... Sulimowski na śmiertelnej

pościeli uczul zgryzoty sumienia, chce krzywdę nagrodzić, wola mnie, prosi i zaklina o przebaczenie.

Zawahałam się w pierwszej chwili, zdalo mi się żem ujrzała przed sobą dziada z gniewem powstającego z grobu i zakazującego podać dłoń swym zabójcom; ale wprędce uczulam, że nie godziło się umierającego odpychać. Porzuciłam wszystko, przybyłam tutaj i choć złamana tym widokiem, nie żałuję swego kroku, bom widziała co rzadko. szczery żal i pokutę...

— Więc hrabia się nareszcie opamiętał?

— Zdaje mi się że dziekan, zacny ksiądz, dawny jego znajomy, który zawsze usiłował go na lepszą wyprowadzić drogę. był tej odmiany sprawcą... Ale cokolwiek ją spowodowało, pięknym to było obrazem mocy wiary nad człowiekiem, w którym do szczętu nie zgasła. Dopóki jest jej choć trochę, choć iskra pod popiołem, jeszcze się ogień święty może rozniecić. Zastalam go zmienionego okropnie, ale przytomnego, widać było że męczył się ze śmiercią, która już na nim zimną dłoń położyła. Wyciągnął do mnie rękę w milczeniu, lzy mu się z oczów potoczyły, nie rzekł słowa, tylko z gorączkowym pośpiechem oddał mi jakiś złożony papier i upadł płacząc na poduszkę. Nie wiedziałam co się ze mną działo, tak byłam przejęta i poruszona. Wzięłam papier machinalnie nie wiedząc co to znaczy, siłłam się na rozmowę obojętną, wesolą nawet, ale Sulimowski po chwili kilka słów wyrzekł prosząc mnie abym pozostała u nich i powiedział że chce spocząć; kilka dni żył jeszcze przy mnie i te ostatnie godziny całą jego przeszłość zatarły może w oczach miłosiernego Boga. Pracował nieustannie usiłując naprawić wszystko złe, jakie mógł zrobić w ciągu życia;

krewni, żona z przestraczem na to patrzali. starali się go odwieść od tysiąca restytucyj jakie czynił, ale nie nie pomogło. Wpadał w gniew, miotał się i rozpedzał wszystkich.

Byłam raz w drugim pokoju i mimowolnym świadkiem gdy hrabina przyszła zaklinać go, żeby majątku dzieci nie rozrzucił. Milczał długo, nareszcie głosem którego nigdy niezapomnę, wykrzyknął: Więc chcesz żebyś grosz cudzy. nieprawą grabież dzieciom przekazał? żeby z nim spłynęło na nich przekleństwo, nędza, kara za grzechy ojcowskie? Nie! nie! nie! niech pozostaną w ubóstwie, w nędzy, ale bez plamy! Błądziłem całe życie... szalałem, czas co można poprawić!

Hrabina poczęła sucho mu wynawiać, zmiłkł znowu, ale po godzinnej rozprawie pozostał przy swoim, i na resztę dnia zamknął się znowu z księdzem... Okropne to były tych dni kilka! On na łożu śmierci, rodzina usiłująca mu wydrzeć majątek nieprawnie zdobyty, on z księdzem jedni pracowali by czysty zszedł ze świata!

Co chwila wyszukiwano nań sposoby, nasyłano dzieci, dalekich krewnych, pracowano nad tem by nie prawnie uczynić nie mógł, ale dziekan z zimną krwią podziwu godną dokonał wszystkiego.... Wczoraj jeszcze zajmowali się resztą interesów, bo hrabia chciał wszystkie z kolei przepatrzeć, gdy nagle zrobiło mu się gorzej, począł spowiedź, wziął ostatnie pomazanie i z widoczną jeszcze umarł rozpaczą, choć dziekan go usiłował uspokoić. Na godzinę przed zgonem stracił mowę, a w ostatku i przytomność...

— Możesz-że paui pozostać tu na dalej? odezwał się Staś niespokojny.

— Nie wiem, odpowiedziała Konstancja, hrabia wymógł na mnie słowo, że zamieszkam w Sulimowie. starał się i względem mnie popełnioną niesprawiedliwość nagrodzić.... Miarkujesz pan, że z tego powodu nie jestem tu bardzo miłym gościem.

Dość długo tak jeszcze rozmawiali przechadzając się w dziedzińcu, gdy przybycie Zmory przerwało tę przechadzkę przerywaną z daleka słyszeć się dającym śpiewem u katafalku.

— Jedź pan do Zakala, odezwala się zegnając go Konstancja — oznajmie mu co się ze mną stanie, naradzim się, i będziemy cierpliwie czekali żeby los uczynił z nami co nam przeznaczył.

I z tą ufnością, która była dowodem siły ich przywiązania, co nie wątpiąc o sobie nie wątpilo o przyszłości — podawszy sobie ręce, rozstali się, w chwili gdy Zmora kwaśny i nadęty zbliżał się do nich ze śledczem wejrzeniem.

— Kuzynku, odczuwała się Konstancja, widzę że mój przyjaciel pan Stanisław nie znalazł łaski w oczach twoich, nie umieliście się poznać na nim.

— Temu nie przeczę, odparł pan Teofil, może to być niewysłowiona doskonałość, ale nie wszyscy dla wszystkich, kuzynko dobrodziejko.

ROZDZIAŁ VIII.

Z panami Mylińskimi.

W miarę przedłużającego się w miasteczku pobytu pana Tomasza Parcińskiego, niespokojność pana Bala rosła co chwila i przechodzić poczyniała w gniewy nawet.

— Co u kaduka, żartuje sobie ze mnie kawaler, wykrzykiwał, porzucił mnie jak na żarzących węglach i brnki zbija w miasteczku. Ależ mu porządnie wytrę kapitulę gdy przyjedzie.

Wszyscy go uśmierzali jak mogli, przedstawiając że rozpatrzenie w aktach, narada z prawnikami, poznanie interesu nie mogło być dziełem chwili; pan Bal uznawał że mieli słuszość, ale niemniej kłął i lajał.

Wreszcie któregoś tam dnia po wyjeździe nie wiem, gdy zasypiał po objedzie z rękami złożonemi na zao-krąglonym brzuszku, wszedł Parciński z dosyć dobrą fantazją do pokoju. Upředzono go wprawdzie że pan Erazm zabierał się na wielkie hałasy, ale pan Tomasz

ruszył tylko ramionami i nśmiechnął się. Jakoż zaledwie go zobaczył pan Bał pobiegł ku niemu, uściskał serdecznie, wycalował i dopiero krzyknął:

— A niechże cie wszyscy djabli wezmą, kochanku! coś ty mnie krwi napsuł!

— Ba! odparł Tomasz, spytaj pan co ja jej sobie napsulem. Możnaż ni w pieć ni w dziewięć przylecieć, nie dojść rzeczy jak należy i powrócić z pustemi rękoma? musiałem docierać, dowiadywać się i powróciłem przynajmniej pouformowany ostatecznie.

— No! no! mówże co? jak? a predko?

— Nie mogę predko, muszę powoli.

— Mówże powoli, ale zaczynaj predko.

— Posłuchaj pan, rzecz się tak ma: Suma Mylińskich oparta na Zakalu jest niezaprzeczonym faktem, przeciwko temu ani słowa.... Bogiem a prawdą należy się... ale...

— A jakież może być ale? krzyknął Bał.

— Posłuchaj pan *ale*. Suma ta była w procesie lat kilkadziesiąt, zjadła obu stronom pewnie tyle drugie i koniec końcem skutkiem procesu tak się zagmatwał czysty interes, że z pańskiej strony będzie prawo.

— Klaniem nużenie za taki interes, schylając głowę rzekł pan Erazm; stara to wasza sztuka panowie prawnicy, nie mogąc dać stronie słuszności gdy jej nie ma, dajecie cacko, którą zowiecie prawem.

— Ale to wszystko są rzeczy podrzędne, przerwał uśmiechając się Parciński, będziemy się procesowali, ciągnęli, nudzili i z tym procesem jak z chroniczną chorobą możemy sobie żyć spokojnie.

— I za to upadam do nóg! żyć z procesem ślicznie mi spokojność.

— W ostatku, dodał pan Tomasz, dowiedziałem się rzeczy najważniejszej, to jest jak się ta sprawa wznowiła i zdaje mi się że z czego pana Hubkę zażyję z mańki, puszcę z kwitkiem, a Mylińskim sam się ułoży zgodnie i to za nie wielką rzecz.

— Czy to, jakim sposobem? zapytał kupiec, przyznam się wam paucowie, że u was tu na wsi nie nie rozumiem, ani prawa, ani spraw waszych. Jak się można układać mając czem zapłacić. a czując że się sumieniu należy?

— Pozwól pan, należy się ziemi, z majątku, układając się robisz pan dogodałość i targujesz o nią. Lepiej by im było trzydziści lat w sądach?

— Krzywo! krzywo! kochany panie Tomaszu, wykrety! zawsze to jurystowskie sztuczki.

— Ale pozwólże pan mi dokończyć, a dopiero sądzić będziesz.

— Czemu nie? kończ Asindziej! ale wątpię żebyś z takiego założenia na dobrą drogę wyjechał.

Rzecz jest taka, pęczęł Parciański nie łajac się zniescierpliwień: Mylińscy, których właśnie ciągnęły te sumy bająskie, podupadli tak, że w ostatniej niemal są nędzy.

— A na Boga miłego! tem ci gorzej.

— Niech też mi pan przez minut dwie nie przerywa, zaczął prosić plenipotent i położył zegarek na stole.

— Zgoda!

— Hubka, który zważał gdzieś wiadomość o tym procesie i wiedział że ojciec Mylińskich z torbą skończył, dobrze z nami ułożywszy się o dyferencję, osnuł

sobie zamiar nabyć to za nic na swoją korzyść i znowu tak obciąć jak na lesie.

— Tęci chłopak! mruknął pan Bal, powiesiłbym go na pierwszej osie bez sądu.

— Cóż robi? Wywachał że u najstarszego Kaspera były papiery, jeździł do niego, a że szlachcie ich dawać nie chciał, przyszło do tego, że mu miejsce odjąć kazał, aby go zmusić do układow.

— Letr! mruknął Bal patrząc na zegarek i tupiąc nogami, łajda! niecznota!

— Koniec układów, do tego przyszło, że z niemi zawarł dodatkową umowę. Mieli Mylińscy częśćkę we wsi Podhorcin, od lat kilkunastu za długi będącą w administracji. Potulant obiecał im ją powrócić czystą, a w zamian wziąć przelów na przetrójja do Zakala, to jest za kilkadziesiąt dukatów nabyć dwakroć kapitału i tyleż procentów. Dołajmy że część ta i tak się świecie i niezapłaconą należy Mylińskim, a dawnoby ją mieć powinni, gdyby kto koło tego chodził. Moim zamiarem jest dodać panu Tomaszowi, udać się wprost do Mylińskich, objaśnić ich i wejść z niemi samemi w układy. Lepiej żeby oni coś więcej wzięli, niż żeby Hubka z nas korzystała, ich w nędzy zostawując. Jest-że w tem coś nieuczciwego?

Bal potrząsnął głową.

— Dobrze, i tak, Zakala należy dwakroć, a ja ich nie zapłać.

— Zmilnij się pan, mając się zawołać Parciński — od pana nie nie należy! Ale ci mam z tym mówić. Dajmy temu pokój, prosi o całym im się słowa nikomu nie mówić, do Hubki dzi odpisujemy, że przyjmujemy procent i wszystkie jego następstwa, a tym

czasem ja cichaczem zajme się zbliżeniem do Mylińskich. Każ mi pan tylko sprowadzić tu leśniczego Krużkę i nikomu ani słowa.

Kupiec nie odpowiedział, ruszał jednak ramionami.

— Wrócił pan Stanisław? spytał Parciński.

— Przedzej od Waćpana, bo jeszcze wczora.

— A zatem wiesz pan o śmierci Sulimowskiego? rzekł Tomasz.

— Słyszałem.

— Teraz już, dodał adwokat, nie wątpię że i Hubka umrze na pustyni pokutnikiem.

— Ale co z interesem naszym? dodał zaraz.

— Co? nie. Stanisław zastał go na katafalku, nie było z kim mówić, ani mógł kogokolwiek pytać; wiemy tylko że do ostatniej chwili interesa swoje uregulowywał, może go i w tem smierzenie ruszyło, ale czy miał czas co zrobić? o tem się chyba później dowiemy.

— W miasteczku i w okolicy o niczem nie słychać, tylko o cudownem nawróceniu Sulimowskiego, wystaw pan sobie jaką miał opinią, kiedy nikt wierzyć nie chce opamiętaniu!

— Szczególna rzecz, smutnie rzekł kupiec, całkiem sobie inaczej wieś i wsi mieszkańców wystawiałem. Sądziłem że tu się pochowały w waszych lasach wszystkie cnoty których brak u nas, a widzę że tu cywilizacja przyniosła z istotnych swych korzyści nie wiele, a z fusów i mętów ogromnie. Co za sceptycyzm! niewiara! podejrzliwość! niechęć!

— Przecież pan wyznajesz żeś się omylił? rzekł Parciński.

— Wyznaję i nie! bo któż wie, może okolica wasza

wyjątkiem, a jak uważam, Litwa u was tu ma sławę starej pocziwości i siedliska cnót dawnych, tamby ich może szukać wypadało. To pewna, że kółko w które wpadłem, wiele miłe zawiodło.

— A! panie! zawołał plenipotent, owe stare czasy, od których tak miła prostoty i świętosci woń zawiewa, nigdzie się już podobno nie znajdują, próżnoby ich po świecie szukać. Zepsucie poszło z góry jak idzie każda zgnilizna dotykając z kolei tych warstw, które pierwotkowo nie były jego przyczyną. Powiedzmy to sobie że ludzkości pozostało wielkie zadanie, nie odszukania tego co zgasło, ale stworzenia czego braknie! Ja jednak czuję że starej Europie koniec!

— Oh! oh! ofuknął się Bał.

— Słówko tylko, dokończył Parcinski, wszystko i ludy i kraje i całe świata przestrzenie odrębne mają losy swoje. Patrz pan co się dziś dzieje z kolebką cywilizacji, ze wschodem: jest to trup, sparaliżowane ciało bez żywota, co dycha tylko, bo całkiem zgnić nie mogło jeszcze. Toż samo czeka wprędce Europe, nie powiem kiedy, alem tego pewny. Już prąd emigracyjny pędzi z Enropy energiczniejszą ludność ku młodej Ameryce, kędy się całkiem może nowy wyrabia żywot, nowa era bytu ludzkości: kto wie, co będzie za kilka wieków? Dzicz, pustynia, step, ruiny, a u nich uczeni z Kanady lub Oregonu roznierzający gruzy i restaurujący Strasburski Münster i Paryżką Magdalenę!

Nie jestem pewny czy pan Bał zajęty procesem swoim z Mylińskimi, dobrze zrozumiał Parcinskiego, ale to pewna, że po kilkakroć ramionami dźwignął, usta otworzył, okręcił się i rozpoczął znowu o tem co go daleko więcej korciło od losów Europy.

Nazajutrz nie tracąc czasu znikł Parciński, do którego tajemniczo zajechał wózkiem jednokonnym pan leśniczy; razem z nim pojechali do jego rodziców, a tu wedle poprzedniej umowy sprowadzić miano całą rodzinę Mylińskich.

Hubka tymczasem wściekał się odebrawszy zimną tylko odpowiedź, że pan Bal oczekiwać będzie rozwinięcia procesu i bronić się do upadłego. Był on najpewniejszy że skończy układem i to mu szczególnie smakowało, gdyż nie mógł nie obrachować że zwykłym idąc trybem, do śmierci grosza nie zobaczy, a wiele go poświęcić będzie musiał. Poznał on w tem robocie Parcińskiego, którego z dawna nie cierpiał i szukał tylko sposobu jakimby go ująć lub odsunąć.

Tymczasem pan Tomasz lepszą mu gotował niespodziankę, sprowadzając wszystkich Mylińskich do Nowin. Nie bez obawy stawili się biedni szlachta, sądząc że i ostatnią stracić mogą nadzieję.

Spojrzawszy na nich, Parciński się wzdygnął, widząc na jakiej niedzy, na jakiej niewiadomości budować chciał spekulator niecne swe wzbogacenie. Oburzenie jego doszło do najwyższego stopnia, poznając w tych ludziach tak pokrzywdzonych od losu i odartych ze wszystkiego, lepsze serca, zdrowsze uczucia, niż się mógł po ich zaniedbanin spodziewać. Kasper, głowa rodziny, przybity swoim położeniem, nie myślał tylko o żonie i dziecku, a przywiązanie jego do braci i siostry miało coś w sobie ojcowskiej pieczołowitości. Dwaj młodsi, z których jeden ciężko na kawalku roli pracował, mieli także tę cnotę miłości i gotowość do poświęcenia, o którą tak rzadko w wyższych społeczeństwach sferach! Siostra była kobietą wynędzniałą, wybladłą

jak oni wszyscy, ale na pięknej twarzy nosiła jakby pamiątkę dawnego lepszego bytu swych dziadów. W salonie byłaby to piękność jeszcze, w chacie był to kwiat dawno uwiedły.

— Mei kochani, odezwał się pan Tomasz, mam wam słowo powiedzieć. posłuchajcie mnie tylko uważnie i wiercie że pragnę waszego dobra. Hubka was chce niegodnie oszukać.

— A! Jezu! przykładając reke do twarzy zawolali wszyscy ciekawie słuchać poczynając.

— Część w Podbereziu jest waszą i dziś, a że wam ją daje, to nic nie znaczy; to jakby od waści panie Kasprze odkradł czapkę i chciał ci ją sprzedać. Tę część najprzód możecie mieć i bez jego pomocy i nie za to nie dając.

Mylący w milczeniu spojrzeli tylko po sobie.

— Teraz drugi interes; macie sumkę na Zakalu, którą jemu chcecie odstąpić, warta ona dziesięć razy tyle co wasza część w Podbereziu. Ale wy jej nigdy dojść nie możecie i nie dojdziecie sami to prawda.

— No! a widzi pan. cóż zrobić? spytał Kasper.

— Posłuchaj, powiem ci to w dwóch słowach. Najprzód część w Podbereziu weźmiecie jako własną, na to ja się podpisuję i ręczę. A co się tycze sumy na Zakalu, każdemu z was daję za nią oprócz tej części, po dziesięć tysięcy.

Szlachta przestraszyli się i uszom nie dowierzali, Kasper pierwszy zmiarkował, że kiedy ich jeden oszukał, może chcieć oszukać i drugi, zimno spojrzal dając znak swoim i rzekł:

— A proszę Jaśnie pana, my prości ludzie, znać nie znamy co czego warto, jakże tu co poczynąć? my ślepi...

— Ja też nie chcę żebyście zaraz ze mną kończyli, radźcie się ludzi, popytajcie się drugich, ale z Hubką nie kończcie bo straciecie wiele.

— A cóż będzie, jak z paucm Hubką my nie zrobim, a pan potem nie zechce?

Bracia pokiwali głowami dziwnjąc się mądrości Kaspra.

— Jedźcie ze mną do Zakala, a tam dla wam przy świadkach zapewniucie dziedzic, że gotów do takiego układu, jeśli wam się lepszy nie trafi; to was nie zwiążę przecie.

Te rady nie przekouały już niedowierzających, bo zdradzonych, Kasper walczył z sobą widocznie, a Parciński widząc że nalegaucie zbyt cieżkie byłoby nietrafne, powtórzywszy im tylko po kilka razy co widział potrzebnem, odjechał do Zakala.

Mylińscy długo się naradzali, niemal z płaczem, myśleli, dumali, ale do kogo się było udać o oświecenie? o szczerą pomoc? Nie mieli nikogo: zostawieni sami sobie uajlepiej czuli jak omackiem iść musieli, jak łatwo na niepowetowane uarazić się mogli straty.

Gdy się to dzieje a Hubka piwem zapija gniewy swoje, Mylińscy nie nie postanowiwszy rozjechali się nareszcie. Tknęło to spekulanta, że Kasper który go często odwiedzał, od dwóch dni już nie był, posłał więc po niego jakby przeczuciem. Ale na progu poznał że się coś w tak ślicznie osnutych planach zmienić musiało, szlachcic miał minę winowajcy, czapkę w ręku dusił, oczy w dół spuszczał, na odpowiedź ciężko mu się zebrać było.

— A co mości Kasprze, zawołał Hubka. trzeba nam kończyć interes.

— I może nie trzeba, powolnie wyjąknął szlachcic... my się rozmiarkowali.

— Hubka wziął to zrazu za wybieg tylko i tchórzowstwo którego już z ich strony doświadczył, gdy pierwszy raz szło o papiery, i udał gniew.

— A! rozmiarkowaliście się! rozmiarkowali! no to, z Bogiem! Ale powiem wam tylko żeście ostatni niewdzięcznicy! co to! kpiny ze mnie, czy co? Ja się trudzę, pocę, kłopotczę, mozolę, mało ducha nie wyzionę dla was, a wy mnie potem mówicie żeście się rozmiarkowali! Poczekajcież, gińcie teraz kiedy chcecie! dosyć tego!

Kasper uklonił się pokornie.

— Na masz swoje papiery! zawołał spekulant biorąc milczenie za strach, i rzucił z gierydoniku paczkę którą Kasper chciwie chwycił — bierz i bywaj zdrów, a więcej mi tu nosa nie pokazuj!

Szczęśliwiej udać się nie mogło Kasprowi, to też za pazuchę włożywszy dokumenta, których nie wiedział jak dostać, wziął za klamkę i zabierał się wychodzić, kończąc zwyczajem poważnym a odwiecznem:

— Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Hubka zobaczył że zadaleko skoczył i odechrząknął łagodniejszym tonem; ale jak tu się było zawrócić?

Zginiecie! zginiecie! mruczał idąc do piwa, powiadam wam, rozumu za grosz! odpychacie szczęście!

— Niechże będzie pochwalony... powtórzył szlachcic jeszcze się niżej kłaniając.

— Gdybym nie miał litości nad wami...

— Niechże będzie pochwalony! znowu począł Myliński.

— Czekaj-że! czekaj! rozgniewałem się, to prawda, ale... mam taki serce i litość.

Kasper ani prosił ani dziękował.

— No! cóż będzie? przystępując rzekł Hubka.

— A nie, proszę Jaśnie pana.

— No! to myślicie ginąć?

— Nie, proszę Jaśnie pana...

— A jakże sobie rady dacie? coście tam nowego rozmiarkowali?

— Ludzie mówią...

— A! ludzie mówią, a wy kpów z pozwoleniem słuchacie, i cóż wam powiedzieli?

— Że taki nam się więcej należy, a ta część w Podberezii, to ona i tak nasza.

Hubka cofnął się cztery kroki na piętach.

— A! a! otworzył usta szeroko — to tak! to tak! kto to wam powiedział?

— Przysyłali po nas z Zakala.

Spekulant splasnął w ręce, marszcząc brwi i widząc że wszystko przepadło.

— Dobrze! dobrze! zakrzyknął gniewny, kończcie sobie z kim chcecie... zobaczycie co wam dadzą. Fige! mówie ci, fige!

Kasper sam nie wiedział czego, ale się zląkł.

— Kto do was przysłał? spytał groźnie gospodarz.

— Jakiś pan, czy ja jego znam?

— Dokąd was wolali?

— Do Nowin, do Krużków.

— Tere fere! zwąchali pisino nosem... a co wam dają?

— Dają nam cześć w Podberezii.

— To nie wielka rzecz, pomyślał w duchu Hubka, z cudzej kieszeni brać! wzięli mi moje inwencję i szafują, lotry! rozbójniki! sami co skomponujcie! to kradzież!

— 1 po dziesięć tysięcy na głowę.

Hubka się skrzywił...

— Pieniądze na stół? spytał.

— A już ciż na stół!...

— Cha! cha! jacy wy prostacy!

Nic łatwiejszego nie było jak przestraszyć szlachcica, wiedział o tem spekulant, i jał się tego ostatniego sposobu.

— Jakto wy ślepi, nie nie widzicie, a toż na waszą zgubę! zawołał Hubka.

— Jak? proszę Jaśnie pana! oszołomiony począł Kasper.

— Jak? a toż widoczne! a toż w oczy skacze że was obedra, zniszcza, przepaszcza, zgłumia... zobaczycie! zobaczycie! ja więcej nie powiem, róbcie sobie co chcecie! Róbcie, dobrze! ja będę patrzył. Jak się skończy, dopiero mi powiecie z czem wyjdziecie!

Szlachcic wprawdzie zrozumieć nie mógł, ale tem bardziej się uląkł: Hubka widząc to coraz żywiej śmiał szydersko i perorował.

— O głowy! głowy do pozłoty! Jak to tego nie pojąć! toż oni was gubią... to oczewista rzecz! Robić to bezemnie, to sobie kamień do szyi przywiązać.

Radźcie się kogo chcecie! Ja wam prawda daję mniej, ale to zupełnie co innego! Rozumiesz! zapłaca wam fałszywemi asygnatami albo co, potem was za te pieniądze wezmą w ciupę! oto co będzie! wyjdziecie jak ojciec. Co innego ze mną! Ale kiedy tak, z Bogiem! umyвам ręce.

Kasper widząc że tu nic prócz strachu nie dostanie, już znowu brał za kłamkę.

— Niechże będzie pochwalony...

— No! myślicie tam kończyć z nimi? spytał żółciowo się śmiejąc Hubka.

— Nie, proszę pana, na odwagę się zebrawszy zawołał Kasper, ani z panem, ani z niemi, wola Boża! będziemy biedę klepali.

To mówiąc mimo że spekulant znowu coś rozpoczynał, Myliński rad że papiery pochwycił, dopadł wózka i uciekł.

Hubka długo stał w środku pokoju zamyślony, potoczył się do butelki w kącie, napił, odetchnął, ruszył ramionami i wyciągając pięść w stronę Zakala krzyknął:

— Czekajcie niegodziwcy! zobaczymy kto kogo zmoże!

ROZDZIAŁ IX

Zbliżamy się do końca. — Mnóstwo wypadków i przypadków.

Po powrocie z Sulimowa niepomału się zdziwił Stanisław, gdy matka z radością przybiegła mu na ucho oznajmić, że znalazła porę powiedzieć ojcu o wszystkim, uprzedzić go, i szczęściem nie zdawał się jej zbyt przeciwko zamiarom syna uprzedzony. Była więc nadzieja.

Staś nawzajem opowiedział jej co zastał w pustym a teraz stokroć jeszcze puściejszym Sulimowie, jakie było spotkanie jego ze Zmorą i z Konstancją...

— Potrzeba teraz, odezwała się matka po chwili namysłu, żebyś przy pierwszej zrzeczności wszystko wyznał ojcu... uważałam że najwięcej go obeszło to, że nie o tem nie wiedział, i w tem miał zupełną słuszność. Dziecię póki ma rodziców nie im tać nie powinno! Są niestety wyjątki od tego prawa, ale to wyjątki tylko.

Panu Balowi też pilno było rozmówić się z synem w tej mierze, i pierwszego wieczora złapał go w cztery oczy.

— A co panie Stanisławie, rzekł, wiem ja o wszystkim, waści w głowie slysze romanse potajemne? To źle, bardzo źle!

— Nie było w tem tajemnicy, rzekł Staś łagodnie, bo dotąd sam nie wiedziałem czy miałbym się z czem zwierzać... Zresztą żadnego zamiaru ważniejszego, a tem bardziej wpływającego na życie całe, nie przedsięwziąłbym bez wiedzy ojca.

Pau Bal przyjął to dobrze.

— To co innego, rzekł; hm, hm! ale cóż to za pannenka? pięknie wychowana, co?

— We wszystkich względach nie więcej żądać nie można.

— Piękna parentela. slysze? Zdałoby się to dla hustru familji. choć i Balowie nie ustąpią nikomu; z Balogrodu! z Hoczwi! potomkowie Marsagetów! Gdzież się ta panna teraz obraca?

To pytanie zarmieniło Stanisława.

— Jest w Sulimowie, odparł śmiało.

— Cha, cha! rozśmiał się Bał, a ja waści tak ślicznie dziękowałem, żeś za interesem moim jechał do hrabiego. Rozumiem teraz pospiech. Ale cóż tu robi?

Hrabia opamiętał się przed śmiercią i zdaje się że jej zostawił zapis mogący wynagrodzić to co niesłusznie utracił.

— No, no, historia!

Na tem się przerwała rozmowa, ale widząc ojca tak łatwym, Stanisław niewymownie się uradował, odzyskał żywość, humor, wesołość, i to go jakoś zbliżyło do sta-

rego, rozbijając lody które ich dotąd dzielily.

Strumisz tymczasem wciąż bawił jeszcze w Zakalu, a Lizia już się z nim tak zpowfalała i potrafiła go ośmielić, że młody człowiek tracił głowę i codzień mniej był panem siebie.

Przy niej miał odwagę olbrzymią, rankami tylko i wieczorami, gdy był sam jeden z sobą i z tą białą papierną kartą, która mu zastępowała rodzinę i przyjaciół. opanowywała ją trwoga. Na czym się to kołoży? pytał przelekły. tyle nadziei, tyle szczęścia, taki świat dnia pięknego, a moim po nich noc. ból i wygnanie!

Oburzał się na siebie że się dał wciągnąć trzpiotowi dziewczynie, bo pojmował jak ludzie tłómaczyć sobie mogli postępowanie jego. Wnijsz do domu sługa by korzystać z codziennej zazwyczaj i npleść intrygę, i stać się nadużywając zaufanie złodziejem! Niekróć myśl mu ta przyszła, zimny pot go oblewał, stygl nagłe i karecił go jak złoczynca. Ale w dwudziestu kilku leciech czarne oczy kobiety. co tak głośno mówił. że przy ich dźwięku nie posłyszalibyś ty by archaniola, a co to czarem niepojętym. Wejrzenie to drętwi człowieka jak głowa i oko wieszczka, to grzechotnika lub kerała zamawia. Wszystkie naówczas opuszczają siły, wszelka rozwija się przyszłość, śmierć i hańba nawet zapomnieć się dają... Strumisz targał się w tych wieczach, ale ich rozrwać nie mógł. ten kwiatocyklam jak talizman czarodziejski, schnął na jego sercu. wlewał w nie jałosną niepojętą odwagę i siłę! Aż się nie obłąkać się do rażoty, postanowił przecie odjechać, ochłoniąć, i z tem poszedł jednego ranka nim Lizie zobaczył do pana Bała.

— Trzeba mi jechać, rzekł stanowczo na progu, in-

teresa, handel niepokoją mnie, gwałtownie tam potrzebny jestem. Ostatnie listy z Warszawy pilno mnie wzywają.

Pan Erazm, któremu dobrze było z tym gościem osamotnionemu, kwaśno potrząsł łysiejącą głową.

— A daj-że mi pokój, panie Janie! siedziałbys tu i odpoczywał, niech tam licho porwie interesa!

— Pan sam widzi konieczność, odezwał się Strumisz.

— Ale daj mi pokój!

— Cóż zrobim z wyplatami?

— Przecież tam kogoś zestawiles! pomyślemy o tem, pomyślemy, a tymczasem weź Wasć kij, czapke i chodź ze mną nad Horyń z wędką.

Od niejakiego czasu rybołówstwo stało się uciechą upodobaną pana Bala: nie należy jednak myśleć żeby sam z wędką siedział. Próbował on tego, ale pół kwadransa żywość jego nie dała mu dotrzymać placu; stawil więc dwóch chłopaków z wedkami, a sam chodzil po brzegu, pogladając na okolice i ścigając ruchy włosienia.

Zbyty niczem Strumisz, poszedl z nim nad rzekę, a tegoż dnia Bal opowiedzial żonie, że chcial wyjechać, dowiedziala się Lizia i pan Jan dostal burę, a co gorzej znalazl ją tak smutną i dotkniętą, że wylecial z pokoju szalony szczęściem i trwoga.

Położenie jego było nieopisanem męczeństwem, na którego myśl nawet starożytność nie wpadła. Godziny raju przeplatały się z wiekami piekła i miotały duszą rzucając ją to pod niebiosa to w otchłanie. Najpotężniejsza organizacja nie jest w stanie długo wytrwać takim bytem; Strumisz czuł że oszaleje i ostatniego wieczora, zebrawszy się na odwagę, postanowil wypowiedać się Lizi z wszystkiego co cierpiał.

Szczęściem, które czasem przyja za charym, znaleźli się oboje w ganku tak sami jak tylko pragnąć mogli. Jan warty o porę balkonu poglądał na nią smutnie i rozczuło to, on obrywała listki z nie-zczęśliwej wiązanki kwiatów. przed cwi z zapalem zebranej. Rozmowa upadła i milczenie było jakby w tepe tej sceny, której samo przypuszczenie rozbijało pierś biednego młodzieńca.

— Wiec pan doprawdy odjeżdżasz? spytała Lizia po chwili; szczęśliw j drog. zczęśliwej drogi! a my tu skazani na pożarcie Dańkiewiczom i Hurkotom, pozostajemy jak Daniel w lwiej jamie!

Nawet w sinutku który głos zdradzał. Lizia troszeczkę musiała żartować.

— A! pani, odparł powoli Jan, gdyby jechac lub nie było wolą moją, jakżebym chetnie pozostał, ale—musze.

— A może i chce, bom sie znudził.

Śmiechnął się Strumisz. Czy pani to mówi doprawdy i szczerze?

— Może żartem, może szczerze... przecież oile miarkuje, należy mi sie za to wszystko podziękowanie.

— Choćby na klęczkach!

-- Albo pan mnie z klęczeć?

— Gdyby to nie było na ganku, okazałbym jak mi łatwo przyszyłoby upaść na kolana.

Rzekł i przechodząc z żartobliwego tonu nieszczerzej rozmowy do noważniejszej, odezwał się ciszej:

— Pani! pani! przebacz mi wcześniej co powiem, ale dłużej pierś nie wytrzyma, usta nie ścierpią... Spojrz pani na mnie i ulituj sie.

Lizia połniosła główkę oblaną szkarlatem, ale Strumisz złożył ręce i mówić jej nie dał.

— Pani czujesz i widzisz co sie ze mną dzieje, pozwólże mi uciec z moim wstydem i cierpieniem! Sluga w waszym domu, za wysoko podniosłem oczy, wstyd mi siebie samego! Ależ mogło być inaczej? A! to okropna męczarnia!

— Prawisz mi pan jakieś zagadki. zręcznie odpowiedział Lizia. Nie rozumiem doprawdy i rozumieć nie chce! Czego się pan boisz. dla czego uciekasz? Chyba poczne się z panem surowiej obchodzić, to mu lepiej przypadnie do smaku, po dawnemu!

— Zniosę co pani każesz, bom zasłużył.

— Jedź pan sobie zresztą do Warszawy, odpowiedział po chwili, pozwalam, wiem że nieby nie pomogło choćbym zakazała, więc wolę z góry pozwolić; jedź pan, ale proszę pamiętać o Zakalu i wierzyć, że ja nie zawsze żartuję.

— Pozwól mi pani być otwartszym.

— Na co? kiedy się i tak dosyć dobrze rozumiemy, podchwyciło dziewczę podając mu rękę, nie bój się pan! Przyszłość zdobywa kto o nią walczy. a serce kobiece nie jest tak słabą podporą, jak myślą ci co go nie są warci.

To mówiąc rzuciła mu oberwany bukietik kwiatów i uciekła, a Jan pozostał przykuty ze łzą w oku, powtarzając sobie ostatnie jej wyrazy, by ich nigdy nie zapomnieć, by niemi dzień rozpoczynać i kończyć jak modlitwą...

Stanisław zastał tak skamieniałego przy słupie, że musiał go potrząsnąć za ramię, żeby z odrętwienia przebudzić.

— Co ci jest Janie? spytał trochę niespokojny.

— Co mi jest? nic! — jestem szczęśliwy, wykrzyknął Strumisz...

Nazajutrz choć z wielkim swym smutkiem pan Bal musiał pozwolić na odjazd Jana, wiedząc że od niego najwięcej teraz zależała przyszłość ich wszystkich. Zaczny nasz kupiec przekonywał się coraz bardziej, że wieś ukochana nie da mu chleba powszedniego i że dziś używanie sielskich rozkoszy dla dziedzica jest marzeniem dziwałem. Więcej niż kiedy pan wło ci ma tylko ciężkie obowiązki, wielkie posłannictwo, ogromne brzemie, ani chwili czasu dla siebie i swej przyjemności.

Gospodarstwo z jednej, sprawy powszednie z drugiej, procesa z trzeciej, sąsiedzi wreszcie i wypadki napaściwały go jakby na przekór pojęciu jakie miał o życiu na wsi.

Nie było dnia, nie było spokojnej godziny. Przześladowanie sąsiadów, które na czas jakiś zdawało się ucichać, na nowo podżarzone zostało staraniem Teofila Zmory, który za przybyciem Konstancji uczuł większą jeszcze złość do Balów, pierwszej przyczyny jego zarczyn z pauną Hurkot. Ożenienie go gryzło, a kielich ten, kielich zemsty musiał wypić do dna! nie było na to sposobu. Widział jak potężne głupstwo zrobił, i nie wyrzucał go sobie, ale Lizi i Balom. Hubka także wściekły, że mu Mylińscy z rąk się wyśliznели, wziął się czynnie do instygowania na przyby-zów i woził o nich znowu najdziwniejsze plotki, podbudzał do najniegodziwszych kroków. Nareszcie pani Supelkowa, niezapominająca urazy swej i omyłki w rachubie, z pomocą kuzynków po sądach i pomocnika doknezała niepomalu nieszczęśliwym.

Prześladowanie ze trzech tych stron wymierzone gwałtownie, prawie w jednej chwili rozpoczęło się na

nowo. Przybrało ono formy dotąd nie probowane, odmawiano usługi, przeciągano osadników szlachtę, nie mogli dostać robotników, rzemieślników, najmniejszą drobnostkę musieli w dziesięć kroć przeplacać, na ostattek pokazały się podrzucone listy bezimiennne.

Pan Bał wpadał w wściekłość prawie i latając po pokoju wołał: Co ja tym ludziom zrobiłem! com ja im winien!

Na to pytanie nikt by mu pewnie odpowiedzieć nie potrafił, ani ci nawet co się tak nielitościwie obchodzili z nim.

Przyszło do tego że się nie było można pokazać do kościoła, dla szeptów, wykrzyków i klótni ludzi, biorących stronę swych panów i porywających się do bójki. Proboszcz zaklinał i gromił, ale to nie nie pomagało.

Stanisław burzył się wewnątrz, ale cierpiał, przed ojcem nie wydal się z żadną myślą, widać było jednak że coś knuł w sobie.

Na Zielone Świąta niepodobna było nie pojechać do kościoła, a choć tych spotkań z nienawistnem sąsiedztwem unikali państwo Bałowie, nie mogli na ten raz nie zetknąć się z nim. Przyjechawszy przed furtkę zastanowił się powóz i Bał z żoną i córką wysiadł. Stał przybyły drugim powozikiem, zobaczywszy Zmorę i Hubkę przy furtce stojących i jakby przygotowanych do jakiejś impertynuencji, pospieszył też za nimi. Jego brew zmarszczona i usta zacięte zapowiadały co się z nim działo.

Zmora i Hubka postawali tyłem na samym środku ścieżki z której boków były małe kalużki po deszczu, tak że przejść było trudno.

Widzieli oni przybywających i zrobili to najwyraźniej umyślnie. Bał grzecznie uchyłając kapelusza poprosił o drogę, ale Zmora i jego towarzysze udali że nie słyszą. Stanisław oburzony tą niegrzecznością wyrwał się naprzód i dosyć silnie trąciwszy obu, środkiem otworzył przejście.

— A to osobiwszy sposób wchodzenia do kościoła! zawołał pan Zmora.

— Darują panowie! odparł Stanisław z przyciskiem, ale przez nich przejść było niepodobna.

To mówiąc chciał położyć rękę na matce i siostrze, gdy Zmora głośno się odezwał:

— Porachujemy się o to!

— Z obuwoma panami jeśli potrzeba! uchyłając kapelusz odpowiedział Stanisław — dawno czekałem na tę chwilę.

To rzekłszy przyszedłszy szybko, drżąc matkę i przylekłą prowadzić siostrę.

Bał zmieszany wciągnął się za niemi.

Dwaj rycerze, którzy na niezapowiedziane przybycie Stanisława nie widzieli, bo odwrócili się właśnie gdy nadjechał i wyiadał, znaleźli go w dosyć przykrym położeniu. Ani jednemu ani drugiemu nie było się doprowadzić zaczepki do pojedyńku. chcieli tylko bezbronnym zrobić małą przykrość. Zmora w chwili gniewu odezwał się o rachunek, ale ochłonawszy nieco, mocno się zachmurzył i zamyślił. W dwudziestu kilku leciech pojedynków jest igraszką, w czterdziestu nie liczymy go już tak lekko. Gorzej jeszcze dopiekalo, że pierwszą przyczyną czuł się sam pan Teofil i miał sobie do wyrzucenia niegrzeczność parafjańską.

Co się tyczy Hubki, nieszczęśliwy pan Piotr drżał

już jak we febrze, i nie z guiewu, ale z nieukrywanej, ze strasznej bojaźni! Wyobraźmy sobie starego kawalera, samotnika, który całe życie *per fas* i *per nefas* pracował żeby sobie jaką taką wykołatać przyszłość, dochodzącego do kresu życzeń i wstrzymanego tak niespodzianym wypadkiem na progu szczęśliwości, która się składała z folwarku, piwa i wkrótce miała ostatecznie dopełnić ożenieniem z młodzieńką panienką.

Hubka był tak śmiesznie przełękły samą myślą śmierci, że pan Teofil, którego także pojedynek nie mało obchodził, rozśmiał się przecie z niego. Pan Piotr mówić nie mógł.

— Ale bo to Waćpan namówileś mnie na to głupstwo! niech djabli wezmą! odezwał się z guiewem.

— Przyznam ci się panie Piotrze, że nie zobaczył tego mlokosa, myślałem że starzy sami, chciałem żeby trochę sobie zamoczyły warszawskie trzewiczki.

— Tak, a teraz możemy zamoknąć, to głupstwo! ja bić się nie będę! zamaszysto rękę podnosząc rzekł Hubka. A mnie to na co? z pistoletu nie strzelam, pałasza jak żyję w rękę nie trzymałem! Szelma jestem że bić się nie będę; niech sobie robi co chce, do tego mnie nie zmusi.

Pan Teofil nie na ten zapalczywy wykrzyknik strachu nie odpowiedział i nie wydał się z myślą swoją, ale zadumany przeszedłszy się parę razy po cmentarzu, wszedł po chwili cichaczem do kościoła.

Nie wiem jakim sposobem w pół godziny potem, choć wszyscy zdawali się modlić i milczeć, każdy już wiedział o wypadku, i nim przyszedł czas wyjścia, chodziły o nim wersje najdziwniejsze. Jedni powiadali, że Zmora uderzył Stanisława, drudzy że Stanisław pluwał

w oczy panu Hubce, inni utrzymywali że stary Bal w błoto się wyrócił, ale koniec końcem wszyscy byli pewni pojedynku.

Unikając nowych nieprzyjemności, państwo Balowie zatrzymali się w kościółku aż do wyjścia wszystkich i ostatni opuścili miasteczko. Biedna matka wyszła chwiejąca się. blada. zniepokojona, ze łzami w oczach, ojciec milczący i poruszony, Lizia rozgniewana. Stanisław siadł z niemi do powozu, pilno im było pomówić z sobą.

Matka gniewała się na syna i wymawiała mu krok jego, który go niepotrzebnie narażał, ojciec i Lizia po trosze brali jego stronę, znać jednak było w panu Balu walkę rycerskich uczuć z ojcowskiem przywiązaniem.

— Co u kroćset basalyków! wołał straszliwą robiąc mine — gdybym cokolwiek był młodszy... Ale Stanisław niepotrzebnie się narażał!... krew nie woda!

— I właśnie dla tego jak wody nie godzi się ją lada czego rozlewać, przerwała matka.

— Dosyć bo nam dokucz yli! Ale bo się nie dopuści do pojedynku! Chociaż wartoby im przytrzeć rogów... strachem... Zmora, pewny jestem bić się nie zechce. Takbym wołał! Byle tylko pomiarkowali raz przecie że z siebie drwić nie dajemy... krwi przelewu nie pragnę. Zwyczaj to barbarzyński.

Urywanemi słowy narzekala matka, gniewał się ojciec, oburzała Lizia i tak dojechali do domu.

ROZDZIAŁ X.

Pojedynek.

Przybywszy do Brodów, pan Teofil, który całą drogę myślał, rzucał się i wpalał na różne sposoby zręcznego odwrócenia pojedyńku, powiedział sobie nareszcie:

— Nie ma na to rady! potrzeba tam kogoś posłać! wyzwać, a na placu, chyba Bóg nie łaskaw, podamy sobie ręce i zapijemy szampanem.

Prawde rzekłszy, wiecież ciarze pojedynków o których najgłośniej mówią, kończy się zabiciem śniadania. i Zmora stołownie do zwyczaju miał prawo spodziewać się takiego końca. Sam dopomniawszy się o rachunek, musiał teraz rzecz doprowadzić do skutku. Wysłał więc gońca do pana Porfirego, bo nikt inny nie nastreczał się w sąsiedztwie na funkcję podobną i oczekiwał go z niecierpliwością, choć to już najzwawiej załatwić.

Pan Porfiry już od powracających z kościoła (gdyż sam nie był na nabożeństwie) dowiedział się o wy-

padku i ciekawy pędził na zwiady, gdy go posłaniec spotkał.

Zrozumiał od razu o co chodziło, ale mu to wcale nie przyszło do smaku: wołał się plotki niż czynny brać udział w zakazanym krwi przelewie. Ale zawrócić się było niepodobna. I on także pomyślał:

— To się skończy śniadaniem.

Wpadł tedy do Brogów prędzej niżeli się go spodziewano, z powodu że był potrzebny przybierając swój ton wyższy i poufalszy.

— A co tam słuchać? krzyknął na progu.

— Wiesz pan już? spytał Zmora.

— Coś, trochę.

— Wszak ten blazen potracił mnie w kałuże, rzekł pan Teofil; zrobił to umyślnie.

Tak, ale pan nie chciał z drogi ustąpić jego matce i siostrze.

— No to co, nie mogli przejść bokiem?

— Ale koniec kłóśców?

— Wyzwałem go zaraz na cmentarzu, a ten i mnie i Hubce odpowiedział, że gotów nam obu służyć. Kiedy taki zuch, prosimy... Mam do pana prośbę.

Porfiry wstał, pokręcił głowę dla pokrycia trochę drżącej wargi.

— No, co pan każe?

— Jedź z łaski swojej i ulóż się o czas i miejsce, o broń, o warunki.

— Najchętniej! najchętniej! rzekł z razu pan Porfiry... ale... tylko bieda, że żadnej nie mam wprawy! Nie wiem jak to!... Zresztą a nuż sekundantom wypadnie machnąć ręką, a ja przyznam się panu tak zapomniałem.

— Cóż robić? przypomniemy sobie! grając zucha rzekł Zmora.

— Ale — wahając się szepnął przybyły — a nie mogłoby to się skończyć tak jakoś zgodnie?

— Nie, rzekł pan Teofil, nie chcąc się wydać z tem co myślał, on mnie pewnie nie przeprosi, a ja darować uchybienia nie myślę.

— Więc uaprawdę?

— Najprawdziwiej bić się będziemy.

Szalawiński usta zaciął.

— To tak, rzekł powoli jakby do siebie — to tak! no! no! a jakaż pańska broń?

— On ma prawo wybierać.

— Oj! to źle!

— Ale jakabyś pan wolal?

Pau Teofil musiał się zastanowić nieco, bo dotąd nie pomyślał o tem jeszcze gruntowniej, pistoletu już dawno w rękę nie trzymał, szablę nie bardzo mógł władać dla jakiegoś reumatyzmu który mu się przypłatał po długim pobycie w Warszawie.... w dodatku pistolet takie czasem sztuki płała, a szabla tak kiereszuje. I to źle i to nie dobre!

— To mi wszystko jedno, odparł po chwili, pomyślawszy, że z obojgiem dobrze się obejść nie potrafi.

— A zatem?

— Zatem pojedziesz z łaski swej dziś wieczorem do Zakala, rozmówisz się z tym warszawskim wiercipiętą, i będziesz żądał żeby spotkanie miało miejsce jak najrychlej.

— Gdzie?

— W lesie naturalnie, a każdy z nas napisze wprzód testament... świadczący że sam sobie odebrał życie.

Te szczegóły bardzo nie w smak poszły panu Porfiremu, który więcej myślał o śniadaniu niż o testamentie i miał wstręt naturalny do spraw krwawych, jak skoro te z projektów dalekich zakrawać zaczynały na rzeczywistość. Posmutniał biedny pośrednik, ale się cofnąć nie było podobna; — zawsze tylko zostawała mu nadzieja że się nie stanie przeciw obyczajom i rzecz potrafi zakończyć śniadaniem. Ułożył sobie mocno zastraszyć Stanisława, odmalować mu potęgę, zrzeczność i siłę Zmory w barwach jak najjaskrawszych, i w ten sposób do świętej przyczynić się zgody. Z takim planem po objadku, który obudwóm jakoś nie szedł przez gardło, wyjechał pan Porfiry, nie bez wstrętu, ale z miną wściekłą, która zastępowała odwagę.

Niedoeżdżając do dworu, spotkał konno pędzącego Stanisława, i korzystając z tego zatrzymał się dając mu znak że z nim chce mówić. Łatwo się było domysleć o co chodziło.

Dwaj panowie uchyliłi czapek i zsiadłszy jeden z konia drugi z bryczki, odeszli nieco na stronę.

Pan Porfiry przybrał ton potężny, wysoki, i wziął na się postać członka Jockey-Clubu.

— Przybyłem tu, odezwał się z dandyzmem karykaturalnym, jako przyjaciel pana Teofila Zmory, którego Waćpan dobrodziej obraziłeś, wymaga on zadosyć uczynienia.

— Dam je najchętniej i jakie zechce, odpowiedział uśmiechając się Stanisław, jemu, Hubce, panu i kto tylko zażąda.

— O! do licha! rzekł na stronie przybyły, to coś kroi nie dobrze! A zatem, rzekł głośno — prosimy tylko pana o wybór broni, czasu i miejsca. Panu

Teofilowi, który tyle odbył pojedynków i wszelką bronią włada po mistrzowsku, zupełnie równo jaką pan sobie wybierzesz.

Bardzo się z tego cieszę, że tak godnego mieć będę przeciwnika. dorzucił Stas z uśmiechem, bo co do mnie także, pistolet, szabla, szpada, co prawie każecie, wszystko mi jedno, od szpilki do armaty.

— Pan dobrodziej żartuje! z wysoka rzekł Szalawiński.

— Mówię najszczerzej — chociaż ze zwyczaju wybór broni, czasu i miejsca jest przy mnie, dozwalam państwu obrać sobie co im się podoba...

Zmora uczuł jakiegoś niemiłego wrażenie. chciał zastraszyć, został wylekniiony, nie wiedział co począć.

— Moim sekundantem gdy nikogo tu nie znam, będzie Parciński — bić się może dziś, jutro, pozajutro, kiedy im dogodniej. Proszę mi dać znać tylko gdzie mam się stawić i kiedy.

Porfiry uczuł za potrzebne w tem miejscu rozmowy nieco ton przybrany niewłaściwie zniżyć. uśmiechnął się, gdyż uśmiechy stanowiły u niego przejścia z tonu w ton. — Jak to miło widzieć takie męstwo! rzekł z uczuciem.

— W istocie nie jestem tchórz — Iparl Szalawin trochę od rana gniewem wyegzaltowany, ale gdybym nim był, musiałbym nareszcie zebrać się na męstwo i na kims poszukiwać zniewag, jakich tu wszyscy doznajemy od naszego przybycia. Przyjechalismy z gotowością przyjaźni i uczuciem życzliwości, przyjeżdżamy nienawiścią i prześladowaniem; chcąc pokazać, że z siebie przynajmniej drwić nie damy.

Delikatne było położenie pana Porfirego: co tu powiedzieć i kogo obwinić? a jak się tłumaczyć?

Pan bo to bierze do serca, a to wypadek podobno, rzekł Szalawiński.

— Jakich już było tysiąc! Nareszcie trzeba raz temu położyć koniec.

Niezmiernie stropiony zawadjacką postawą i mową Stanisława, biedny posel pokrecił się, zamruczał i pojechał, a Staś dopadłszy konia w galop się puścił po piaskach.

Noc już była. gdy Szalawiński do Brogów dojeżdżał postanawiając teraz nastraszyć pana Teofila, który tego wcale nie potrzebował. i w ten sposób. gdyby można, pojedynkowi zapobiedz.

Oczekiwali go już i gospodarz i Hnuka, który przybył strwożony, niemal płaczący poradzić się co miał począć, powtarzając ciągle: — Te grunt ja się bić nie będę! Niech sobie robi co chce, albow ja i lpi? bić się nie będę! dalibóg nie będę!

W tem zabrzeczały dzwonki. zahuczała bryczka i pan Porfiry przybierając ważną minę człowieka, który niepoślednią odgrywa rolę, wtoczył się do pokoju.

Gospodarz powstał, Hnuka trzymał się za stół tak mu nogi drżały.

— A co? a co? zawołali oba.

— A! niech go djabli porwą! krzyknął Porfiry, tylko że mnie nie zjadł! to szalony człowiek!

— Zmiluj-że się posłów nie wieszają, nie ścinają! rzekł Zmora.

— Ale łajać łają.

— Jakto? możesz to być?

— To jest, nie mogę powiedzieć żeby mi z czem nieprzyjemnem się odezwał, ale to warjat! to wściekły!

Zmora zmarszczył brwi. — Mów bo, na co ta

przesada! Hubka rece załamał i stał w mileczeniu podobny do posagu Sylena na obrazie Rubensa, ale Sylena w surducie i z wysokimi kołnierzykami.

— Spotkałem go przed Zakalem w polu, rzekł poseł, żeby mi poczciwe słowo pisał, żeby poprosił na herbata... nie.

Spytałem go o wybór broni, placu, miejsca, powiedział mi tylko pogardliwie że gotów służyć kiedy chcemy i z czem chcemy od pistoletu do armaty, pannu, Hubce i mnie i kto zechce...

— I o mnie mówił? a ja nieszczęśliwy! to wściekły człowiek! i o mnie?

— I o pannu, a dodał jeszcze, że nie tylko dwom, ale wielu się podoba stawić będzie czoło.

— Kogoż wskazuje za sekondanta?

— Parcińskiego, z powodu że nie ma tu nikogo znajomego. Otóż macie coście chcieli, róbcie teraz co się wam podoba.

Pan Piotr upadł na krzesło, zakrywając oczy, Zmora począł się przechadzać z widocznym niepokojem.

— Powiedz mi po prawdzie, bez przesady, panie Porfiry, odezwał się obracając nagle. jaką miał minę?

— Złą trochę i bardzo drwiącą, jak Boga kocham! rzekł Szalawiński. Powiadam panom że jakkolwiek nikogo się nie boje, ale na ich miejscu być bym sobie nie życzył. Powiedział mi wyraźnie, że dawno pragnął pomścić się na kimś za wszystkie nieprzyjemności, jakich codziennie doznają od sąsiedztwa. Prawdę powiedziałszy, przywiedliśmy ich do ostateczności.

— Na co było przywozić do ostateczności? to szaleństwo! odezwał się Hubka. co do mnie rzekam się wszystkiego, jutro jadę, przepraszam i cicho siedzieć

będzie! mnie życie mile! Jam się nie głupi bić!

— O! co z tego to nie będzie! przerwał Zmora, wstyd zrobisz sąsiedztwu całemu i z Waćpana wnosząc, pomysła żeśmy tu do nogi tchórze. Bij się nie bij, ale póki ja interesu nie skończę, nie wrywaj się do Zakala, bo mi jak Bóg mily, że ze mną bedziesz miał do czynienia!

Pan Piotr, który Zmorę uważał za zawadjaka, począł drżeć postawiony między młotem a kowadłem, i z wielkiego wysilenia ducha, który w nim pracował, począł się cały oblewać zimnym potem.

Nie będziemy opisywali długiej a niezajmującej narady pana Zmory i Porfirego, którzy wysłali nareszcie oznajmując, że miejscem spotkania ma być la-ek za Nowinami, nie daleko zakalańskiej karczmy traktowej i że tam ocz-kiwać będzie pan Teofil dnia jutrzejszego wieczorem, wybierając pistolety.

Pomimo niespokojności wszystkich mieszkańców Zakala, oczekujących wypadku z łatwą do pojęcia bojaźnią, Staś potrafił zwiąć ojca i matkę, zapewniając że dopiero za parę tygodni Zmora naznaczył pojedynek. Ta zwłoka robiła pani Balowej jakąś nadzieję że się to wszystko rozechwieje. Z rana Stanisław wysłał pistolety swoje z Parcińskim do Nowin do chaty starych Krużków dla niepoznaki, a sam po południu siadł na konia niby dla przejażdżki.

Około godziny trzeciej z południa on i pan Tomasz już byli na placu. Staś z najzimniejszą krwią palił cygaro przechadzając się. Parciński wygadywał historie o sąsiedztwie, z właściwą surowością sądząc co go tręcało, jak nieprzyjazne sobie. Godzina upłynęła na gawędce niepostrzeżona, aż wreszcie hurkot wózka i

tentent koni dal się słyszeć, a na ścieżce ukazały się dwie najtyczanki, kilka wierzchowców i gromadka towarzysząca pannę Teofilowi. Oprócz niego bowiem i pana Porfirego, który miał minę arcykapłana przy spełnianiu tajemnic, tak go strach czynił poważnym, znajdował się tu i Jasio Pancer kuso ubrany, a wesoly i przelekły podsedek Hurkot, przyszedł też pan Teofila, i jeszcze pare figur mniej znajomych.

Spojrzawszy na ten uroczysty przybór Staś się zmarszczył, miało to minę napadu, z daleka uklonił się w milczeniu przybywającym, do których poszedł Parciński, zrzucił z siebie surdut i począł się niecierpliwie przeczadzać oczekując końca tej historii.

Przybyli ogromnie się naradzali, szeptali, i widać było że im to jakoś nie szło; gdy Parciński w imienia Stanisława zażądał końca, gdyż czasz ubiegał i wieczór się zbliżał.

— Przystąpimy, rzekł, do nabicia broni!

Tu spór się wszczął o jej wybór.

— Na wszystko pozwalam, odezwał się z daleka Stanisław — byleśmy raz skończyli przybory i wzięli się do rzeczy.

Nie było sposobu ociągać się dłużej i sekundanci dobyli z pudełek pistolety; gdy podsedek Hurkot zbłądły, nadęty, nienukrywający przerażenia jakiego doznawał na widok tych groźnych przygotowań, zbliżył się do Parcińskiego.

— Mości dobrodzieju, rzekł z nalogu deklamując — w podobnych okolicznościach sekundanci zawsze starają się zapobiedz krwi przelewowi.

— Wiem o tem, odpowiedział pan Tomasz, ale to

daremna rzecz, jeśli pan Zmora nie przeprosi pana Stanisława, ani myśleć o pojednaniu.

— Za co? za co? krzyknął Hurkot, za to że został potrącony? A to jemu należy się przeproszenie.

— O! o tem ani mówić, rzekł pan Tomasz wbijając kulę. Wiadomo panu, że to potrącenie było tylko zapłatą za niejedną przez wszystkich panów wyrządzoną Balom nieprzyjemność! Trzeba żeby ktoś za te kroki zaczepne odpokutował. Mogę państwa zaręczyć, że pan Stanisław nietylko wymagać będzie przeproszenia, ale nawet publicznego w plebanji!

Zmora w czasie tej rozprawy stał z daleka ale uchem niespokojnie chwycił wyrazy, przyszły teść poskoczył ku niemu i począł doń szeptać z wielką żywością i ruchami malującymi co się z nim działo.

— Oszalał! zawołał Zmora, będziemy się bili!

— Ale ja na to nie pozwolę! rachując na wymowę swoje, przerwał podsędek i sam postąpił ku Stanisławowi, który z guiewn nowe zapalał cygaro.

Nie mam przyjemności być panu znajomym, rzekł z wielkiem wysileniem, ale w takich okolicznościach, zbytek ceremonji byłby śmiesznością. Bliskie węzły przyjaźni a wkrótce ściślejsze jeszcze łączą mnie i łączyć mają z panem Teofilem, boleję nad ostatecznością która obu ich naraża. Czyż obraza jest tak wielka, żeby warta była krwi przelewu? Zastanówmy się.

— Ja jestem wyzywany, odpowiedział Staś spokojnie — to do mnie nie należy. — Ale dodam to tylko, że gdybym wyzywany nie był, oddawna sam wyzywającym być chciałem. Policzcie się państwo z sumieniem, iluście goryczami napoili nas wszystkich od czasu naszego przybycia, a uznacie, że słuszny mam powód poszukiwać

na pierwszym co mi się nawinął krzywdy swojej. a raczej krzywdy mojej rodziny.

Pan podsędek zmieszał się, nie wiedział co dalej mówić.

— Rozprawy do niczego nie prowadzą, do rzeczy! do rzeczy! Proszę odmierzyć plac.

Parciński rzucił chustkę i począł liczyć kroki. podsędek stał niemy i osłupiały.

W tem szybki tentent pędzącego powozu dał się słyszeć w dali za krzakami, coraz bliżej, bliżej i pan Bał wyskoczył z koczka cały zdyszany. zmieszany, nieprzytomny.

Staś pobladł i chwycił się za głowę, a podsędek uradowany wprost pobiegł ku Bałowi.

— Dzięki Bogu że pan tu na moje wezwanie przybyłeś! zawołał z czułością niemal otwierając rece jakby do uścisku; pomożesz mi pan dobrodziej do zbliżenia tych dwóch zajadłych i zapalonych przeciwników.

Bał oglądał się tylko, ale uśmiech radości i uprzejmości już mu się zwijsał na ustach.

— Do czego to wszystko, krzyknął podsędek, do czego?! Nie miejcie państwo żalu do nas, nie znaleźliśmy ich, możemy fałszywie wyobrazili sobie, możemy co zawinili. Puśćmy to w niepamięć, podajmy sobie dłonie, zgoda, przyjaźń niech panuje między nami, nieprawdaż?

— Święte są słowa pańskie, odparł pan Bał, bodajby się ziściły!

— Panie Teofilu, przyskakując do niego zaklął go przyszły teść, bądź dobrym przykładem, zbliż się pierwszy i daj rękę, proszę o to, wymagam! Mamy sobie do wyrzucenia, żeśmy tak godnych ludzi ocenić nie umieli.

— Stasiu! zbliż się, rzekł ojciec.

— Ale cóż to! komedja? zawołał Stanisław z wyraźną niechęcią.

Parciński śmiał się serdecznie.

— Panie Teofilu, nie bądź uparty, zaklinam cię w imię twej bohdanki! Pan Hurkot sądził w duchu że tem wspomnieniem rozczerli i usposobi do łagodności swego przyszłego zięcia, na którego twarz dziwny tylko grymas wywołał.

Wszakże nie było sposobu, jakkolwiek w ten sposób Bałowie wygrywali sprawę ze wszechmiar. Zmora, który wcale pojedynku nie pragnął, zbliżył się i podał Stanisławowi rękę, a ten ją przyjął zimno i poważnie się uklonił.

W tej samej prawie chwili z trzymanego w rękę już nabitego pistoletu strzelił od niechcenia do kręcącego się szczygła i położył go na miejscu.

Wystrzał ten niespodziany poprzestraszał starych, naśmieszył Parcińskiego, a pan Porfiry obejrzawszy ofiarę i przekonawszy się że miała głowę urwaną, pokazał ją Zmorze ukradkiem.

— Niech go kaci wezmą! rzekł po cichu, będę mu się kłaniał z daleka.

— A teraz kto łaskaw, zaklinam i proszę do mnie, niech ta chwila będzie nowem i niezachwianem przymierzem między nami a godnem sąsiedztwem naszym, odezwał się pan Bał czule rzucając się w objęcia podsedka, który go przyjął i obcałował z rozrzewuieniem.

Nastąpił uścisk z panem Teofilem powoli przychodzącym do siebie, a Jaś Paucer pierwszy przyszedł dłoń podać Stanisławowi z prawdziwem uczuciem. Potem wszyscy ruszyli do Zakąła, gdzie z wielkiem podziwieniem pani Bałowej, nie wiedzącej o niczem, zja-

wilo się naraz tyle gości, ile ich nigdy jeszcze nie było.

Oprócz Stanisława, który długo chmurny się przechadzał, reszta osób, nie wyjmując pana Teofila nawet, byli w najwyśmienitszym humorze. Prawda że pan Bal podwójnie rad z takiego końca pojedynku i początku przyjaźni, przyjął swych sąsiadów co się nazywa od serca. Wkrótce kobiety musiały wyjść, by gospodarz pozamykawszy drzwi, poił ich do upadłego z tą natarczywością polską, która gotowa na kolanach domagać się spełnienia kielicha. Nikt nie odmawiał prośbom i o północy, gdy podano wieczerzę, tylko Jaś Pancer i Stanisław do niej zasiedli, jeden że mógł pić ile mu kazano, drugi że nic nie pił.

ROZDZIAŁ XI.

Nareszcie będzie koniec.

Stanęliśmy wreszcie u mety, bo cóżbyśmy dalej opowiadali? powszednie chyba dzieje życia codziennego, które mniej jeszcze od pierwszych rysów tego obrazku tak powszedniego już z siebie — miałyby zajęcia.

Pozostaje nam tylko, wedle odwiecznego zwyczaju pożenić naszych bohaterów, pochować ich kilku, a wreszcie dać ojcowskie błogosławieństwo.

Czytelnik łatwo się domyśli, którzy wedle prawideł poumierać powinni, a kto się z kim pobierze. Chodzi tylko o to jak się to poodbywało. Prosimy jeszcze o odrobinę cierpliwości, jeśli się ta nie całkiem dotąd wyczerpała.

Przymierze Zakala z sąsiedztwem było zawarte i weszło natychmiast w czyn, bo i Hurkotowie i Dankiewiczze i co żyło, pospieszyło zawrzeć bliższą i ściślejszą znajomość z panem Balem. Po obliczeniu tylko korzyści tego związku, nie wiem co na nim zyskał

pocziwy kupiec, chyba to, że wszystkim służyć musiał, z czego nadzwyczaj był szczęśliwy!

Zresztą złote jabłko, jak większa część złotych jabłek świata tego, codzień się stawało kwaśniejszą gnilką. Ale los zawsze czemś wynagradza przez ludzi wyrządzone krzywdy. Chociaż hrabia na śmiertelnej pościeli nie miał czasu obrachować się z panem Balem i krzywdy mu wyrządzonej odplacić; przestrach Hubki który zrzekł się i procesu Mylińskich i sam dobrowolnie ofiarował się dla świętej zgody na nowo przerobić układ o dyferencją, z czego Parciński zaraz skorzystał, — poczęści straty poniesione nagrodził. Z Mylińskimi ukończono zgodnie za nie wielką sumę, a połowa dyferencji zostająca przy Zakalu, polepszyła nieco stan tego majątku.

Wprawdzie nie przestały wiejskie zwyczajne kłopoty obsiadać pana Bala, który poznawał że prawdziwe złote jabłka tylko w raju rosnąć i dojrzewać mogły, ale z temi powoli się, oswajał i mniej mu już były straszne, gdy lepiej swe położenie poznał. Zakale powolnie urządzając się, nieco większe poczęło dawać dochody, które zawsze jednak nie odpowiadały wyłożonemu na nie kapitałom. Tymczasem handel pod okiem Strumisza w Warszawie za wszystko starczył, bo szedł nadspodziewanie szczęśliwie, a kupiec poznawał codzień lepiej, że Janowi był winien ocalenie majątku i cały był swój materialny.

Skłonny do przywiązania, do egzaltacji nawet, pan Erazm wynosił teraz talenta i pocziwość Strumisza tak wysoko, że pani Balowa odważyła mu się szepnąć nareszcie nieznaczenie o Lizi i o nim.

Bał mocno się zastanowił.

— Gdyby był szlachcic ! rzekł kiwając głową.

— Zmiluj się kochanie , odpowiedziała żona , a ja nią nie jestem !

— To też to jedyna wada Asani dobrodziejki, uśmiechając się grzecznie odparł potomek Massagetów.

Ludwika ruszyła tylko ramionami.

— Ale on musi być szlachcic ! zawołał poprawując się pan Bał, brzmienie nazwiska. piękne rysy twarzy, charakter nawet rycerski dowodzą tego niezbiecie. Szukałem go w Niesieckim, nie ma to prawda; ale ten Niesiecki bałamut, bałamut ! tyle poopuszczał; byle kto Jezuitom nie świadczył, za rękaw go chował.

— Mój Erazmie, przerwała pani Bałowa, szlachcic czy nie szlachcic, zdaje mi się że go Lizia kocha.

— Znowu bez pozwolenia ! rzekł kupiec załamując ręce. Staś tak sobie pozwolił sam, i ona go naśladowe ? Do czego to świat przyjdzie ? Porządek społeczny zachwiany, nawet w rodzinach już jest nasienie nieposłuszeństwa. Okropna przyszłość dla Europy !

Nie przeciwiąc się wcale, pani Bałowa ruszyła tylko ramionami.

— Ty pozwolisz jednak ? odezwała się, jestem tego pewna, oni się kochają, ona z nim będzie szczęśliwą.

— Pozwolisz ! juseiż muszę, kiedy się już pokochali, z komiczną powagą rzekł ojciec, ale to... ostatni raz !!

— Spodziewam się, bo ich więcej nie mamy.

— Mówie to na przypadek wnuków ! dodał kupiec.

Tak więc to co się zdawało niepodobieństwem, małżeństwo Lizi i Strumisza, wyjednanem zostało przez matkę z największą łatwością. Zresztą zbliżające się ożenienie Stanisława jak najlepiej dogadzało teraz przyszłemu urzędzeniu się całej familji. Ojciec zawsze za-

kochany we wsi, miał sobie mieszkać w domku który kazał budować niedaleko osady Nowin w pięknym gaju brzozowym; matka jechała do Warszawy z Lizią i przy Strumiszach żyć chciała. dokąd wiedziała dobrze, że i pan Erazm, który się zaklinał że z Zakalą nie wyjedzie, przybyć musi zateskniwszy po swoich.

Ale wprzód jeszcze powiedzmy o Konstancji i Stanisławie. Hrabia umierając zostawił jej najniespodzianiej dwakroć sto tysięcy prostym długiem, a ta suma, choć nie zwracała jej ani połowy tego co utraciła, uczyniła ją przecie niezależną.

Za pozwoleniem ojca Stanisław oświadczył się, i choć cała rodzina i opiekunowie mocno byli przeciwni zamaż-pójściu jej, Konstancja z łagodnością odpowiedziałwszy im, że nie zerwie danego przez nią słowa, — wytrzymała rady i perswazje, a nakoniec podała rękę u ołtarza szczęśliwemu Stanisławowi.

Państwo młodzi mieszkać mieli w Zakalu, a stary nawet myślał bardzo przezwąć to miejsce Balogrodem. co jednak do skutku z różnych powodów nie przyszło. Swoję tylko nową sadybę za Nowinami uparł się i ochrzcił Hoczwią. na pamiątkę owej Hoczwi i Sredny, którą przodek jego Mikołaj wziął po pannie Zdowskiej.

Z połączeniem Lizi i Strumisza więcej było trudności, bo tu niemal prosić i zaklinać trzeba było Jana, żeby na swoje szczęście pozwolił, tak drżał by go nie posadzono o rachubę. by mu nie wyrzucano niewdzięczności i zdrady.

Dla spokojności mieszkańców Zakalą i to było wielkiem szczęściem, że po śmierci hrabiego straciwszy opiekuna, pani Supelkowa z mężem wynieśli się nie tylko z Supówki, ale wyjechali do jakichś krewnych na

Podole, unosząc z sobą niezaspokojone zemsty pragnienie.

Sąsiedzi poprzyjaźnili się jak najserdeczniej z Bala-
mi w ogólnosci i ze Stanisławem, którego się odtąd
lękano jak ognia. Stary Bał mógł jeździć, gawędzić,
przyjmować i zeszlachecił się i zwieśniaczył zupełnie,
tak że gdy opalonego i ubranego po wolińsku nie po-
znawali starzy przyjaciele Warszawscy, nadzwyczaj był
z tego szczęśliwy. — Zajmował go domek w Hoczwi,
ogród który zasadzał, ulepszenia które robił w majątku,
gospodarstwo, nawet plotki powiatowe, w które już wta-
jemniczony powtarzał i komentował.

Zimową porą przejeżdżał się do Warszawy gdzie
zwykle zabawiał do wiosny i już grzęznąc po drodze
na pierwsze pączki zielone do swej pustelni powracał.
Byłby z niej może, tęskniąc za żoną, częściej się wy-
rywał, gdyby drugiego roku po ośiedleniu w Zakale
pani Balowa nie pożegnała się ze światem, przez który
przeszła tak cicho, jak przechodzą anieli, że ich nie
widać i nie słychać.

Ta strata bolesna zmieniła bardzo i zestarzała pana
Erazma, który coraz większego wstretu nabierał do
miasta i już się tam prawie nie pokazywał. Całą jego
zabawą było wózkim jednokonnym na obiad i wieczór
pojechać do Zakala, by się nacieszyć synową ukochaną,
wnukami i posprzeczac ze Stanisławem, bo z nim o
każdy kołek w płocie sporzył, chcąc zawsze sam kie-
rować wszystkim co się działo w Zakale.

Raz w rok Strumiszowie także przyjeżdżali na wieś
odwiedzić ojca i Stanisławów, wioząc z sobą mnóstwo
fraszek tych, które wymyślało miasto, a które są taką
na wsi pociechą i zabawką. Wkrótce z Warszawy po-

częły przejeżdżać wnuki które przy opalonych chłopcach Stasiowych dziwnie się paniczkowato wydawały.

Parciński pozostał przy Stanisławie, i pierwszy raz w życiu powiodło mu się być poznanym, ocenionym, pozyskać przywiązanie. Nie sprzedał on domku matki, bo ten był dla niego pamiątką, ale w nim nie mieszkał, zarządzając Zakalańszczyzną z tą gorliwością, którą tylko przyjaźń natchnąć może. Zawsze szyderski, zachował całe uczucie pod tą skorupą, przez którą się przebić nie mogło na wierzch, choć gorąco wewnątrz tlało.

Pan Teofil Zmora ożenił się niestety! z podsędkówną, ale to było małżeństwo niedobre i ocet a kwasy wydało tylko.

Ożeniwszy się, jakby tylko tego czekał, pan Teofil począł się szybko starzeć, posiwiiał. zmarszczek dostał, opuścił się; a że żonę miał młodą, nie w smak to było dla niej, zwłaszcza gdy coraz w domu uparciej zamykać się chciał wraz z nią.

Państwo Hurkotowie wydali wkrótce i drugą córkę, ale ktoby się spodziewał? za Hubkę! Zmusił ich do tego brak zupełny młodzieży i niemożność dania posagu. Zmora ogromnie był temu przeciwny, pracował żeby to nie doszło do skutku, i nie nie potrafił. Tyle tylko dokazał, że ani sam nie był na weselu, ani żonie być pozwolił.

Panny hrabianki Sulimowskie dotąd są jeszcze do wzięcia i mieszkają w pałacu coraz gorzej opadającym z tynków i dachu, ale Bóg łaskaw, ktoś i po nie przyjedzie, może — zdaleka!

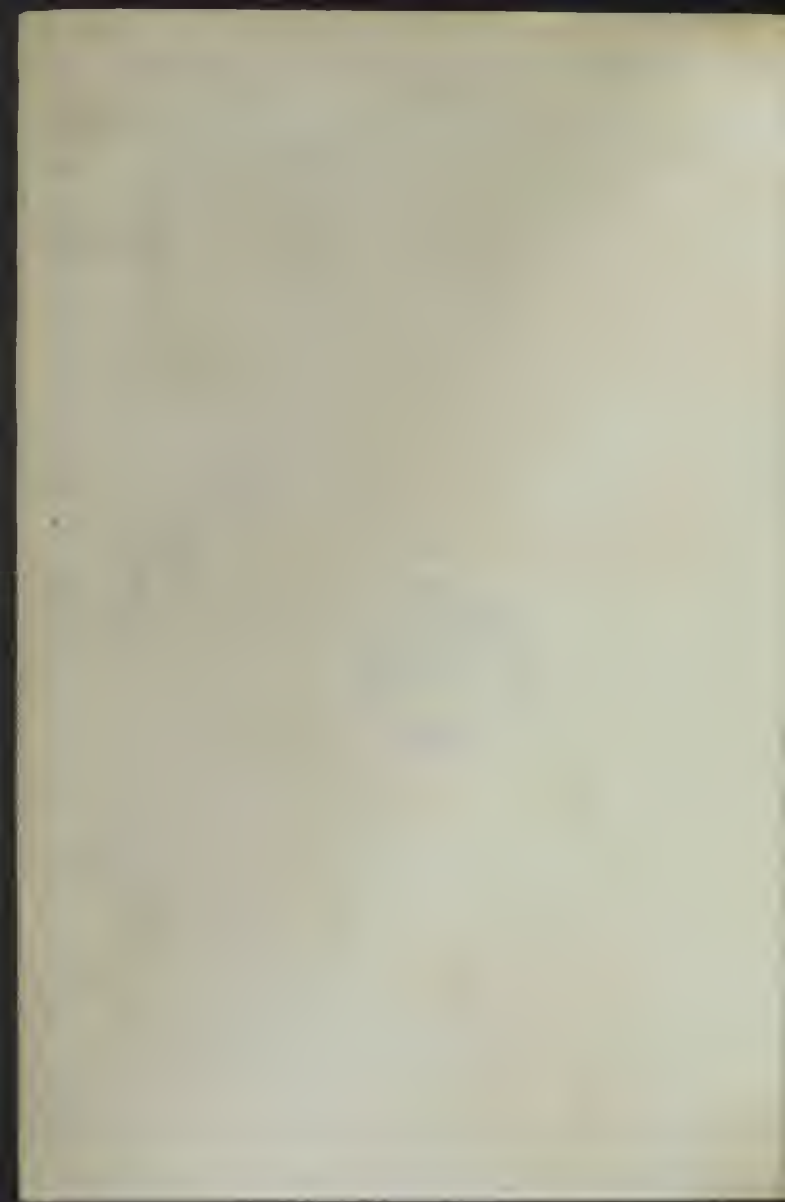
Nie wiem zresztą czyjby los jeszcze mógł czytelników obchodzić? chciałbym bowiem tak daleko ich z sobą zaprowadziwszy, dogodzić przynajmniej na końcu

wszystkim ich wymaganiom; ale zdaje mi się żeśmy nikogo nie porzucili w drodze. Zresztą wyobraźmy sobie, że niewzmiankowani wszyscy poumierali, co jest niezmiernie prawdopodobne, bo to każdego spotkać może; za ich więc dusze proszę o wieczny odpoczynek.

1852. Hubin

K O N I E C.









509—

Biblioteka Raczyńskich

JK 1474



JK1474